Nr. 11. Kraków, 1 Czerwca 1892 r. Rok II.

MYŚL

Dwutygodnik literacko-społeczny i Dodatek polityczno-ekonomiczny.

Od Wydawnictwa.

Biura redakcyi i administracyi „Myśli“ przeniesione zostały z dniem 1 czerwca br. do domu przy ul. Floryańskiej l. 32, gdzie też uprasza się nadsyłać wszelkie pisma i przekazy.

REFORMA PODATKÓW BEZPOŚREDNICH w Austro-Węgrzech W ŚWIETLE KRYTYKI SOCYALNEJ.

(Dokończenie).

Minister skarbu, wnosząc projekt reformy podatków, podał jako pozytywne jego cele:

1. Sprawiedliwe wyrównanie ciężaru podatkowego, a to po pierwsze, przez opodatkowanie tych ekonomicznie silniejszych żywiołów, które dotychczas opodatkowaniu nie ulegały, po drugie przez stosowniejsze stopniowanie podatków według rzeczywistej zamożności, a po trzecie przez ulżenie zbytnio obarczonym ciężaru, szczególnie zaś ekonomicznie słabym i biednym.

2. Drugim celem pozytywnym jest największe ulepszenie systemu podatkowego pod względem technicznym.

3. Trzecim celem pozytywnym jest: wychowanie ludności w duchu zdrowej i wolnej od przesądów ofiarności podatkowej i podźwignięcie nisko upadłej moralności podatkowej.

Czyż o ile ziszczą się powyższe postulaty — przyszłość okaże.

Pierwsza klasa dotychczasowych podatków, tj. podatek od przemysłu i handlu, objętą jest w projekcie nazwą powszechnego podatku zarobkowego. Podatek ten ma rzeczywiście brać w obronę ekonomicznie słabszych; odznacza się bowiem niskiemi granicami taryfowemi i tendencyą ulżenia przez opusty, a nawet zwalniania (§. 5) drobnych przedsiębiorstw, w których zatrudniany jest sam tylko przedsiębiorca lub wespół z jednym robotnikiem.

Niestety jednak żadnej ulgi niema w projekcie dla tych, co dotąd płacili najwięcej i najrzetelniej tj. dla podatników drugiej klasy, żyjących przeważnie z płac i pensyi. Pod tym względem projekt bynajmniej nie odpowiada wymaganiom dobrze i zdrowo pojętej etyki społecznej.

Podatkowi rentowemu ulegać będą te przedmioty i prawa majątkowe, które nie są dotknięte samym podatkiem i o ile nie są już dotąd prawnie zwolnione od ciężarów publicznych.

Nowy podatek osobisto dochodowy jest właśnie tym, który stanowi wyłom w dotychczasowym murze podatkowym i który jest kulminacyjnym punktem całej reformy.

Przedmiotem podatku osobisto-dochodowego jest wszelki czysty dochód, jaki płynie dla pewnej osoby z wszystkich jego źródeł dochodowych, po strąceniu kosztów i ciężarów wraz z procentami dłużnemi. Zasadniczemi znamionami tego podatku są według projektu:

1) zwolnienie od podatku minimum egzystencyi,

2) progressya stopy podatkowej,

3) co do sposobu rozkładania, nowe postępowanie szacunkowe.

Zwolnienie od podatku minimum egzystencyi jest usprawiedliwione już tem, że pewna kwota (w projekcie 600 złr., a dla rodzin liczniejszych ewentualnie wyższa kwota), musi dla każdej rodziny być całkowicie, albo przynajmniej nie z wielkim uszczerbkiem zastosowaną dla zaspokojenia potrzeb. To zwolnienie w projekcie jest tem bardziej uzasadnionem, ile że minimum egzystencyi nie jest bynajmniej zwolnionem od innych podatków, a w szczególności od podatków pośrednich. Postulatem zaś zdrowego rozumu socyalnego jest zwolnienie minimum egzystencyi od wszelkich ciężarów.

Projektowana progressya tj. stopniowane podwyższanie normy podatkowej w miarę wzrostu siły ekonomicznej podatnika, zaczyna się od normy 0·6% od dochodów ponad 600 złr., wynosi przy dochodzie 1000 złr. 1%, przy 3000 złr. wynosi 2%, przy 10.000 wynosi 3%, a przy dochodzie 100.000 i przewyższających 100.000 złr. wynosi 4%.

Samo przyjęcie zasady progressyi w podatku powszechnym, wszystkich obciążającym, jest już ważnym i doniosłym faktem dla ustawodawstwa podatkowego Austryi. Inna rzecz, czy powyższy sposób stopniowania odpowiada wszelkim wymogom zdrowej polityki socyalnej i czy ma być ową stanowczą reformą, którą państwo podjąć winno.

Zważywszy, że własność nagromadzoną została w rękach obecnych posiadaczy tylko dzięki sprzyjającemu wpływowi ustawodawstwa, regulującego własność, jej powstanie i przenoszenie się czy to „inter vivos“, czy też interes „mortuos“, zważywszy dalej, że etyka jednostek przeciętnie niższą jest, niż etyka ustawodawcza, i że w miarę wzrostu tej ostatniej podnieść się może i etyka jednostek, stanowczo i bezwarunkowo przychodzi się do przekonania, że każdy, który tylko umysł swój podnieść umie ponad średni i egoistyczny poziom zapatrywań ogółu, żądać winien od polityki ustawodawczej, aby ona skutecznie zapobiegała powszechnym użalaniom na niesprawiedliwości społeczne.

Takim środkiem byłby podatek progressywny, ale należycie ustopniowany.

Celem podatku progressywnego winno być: wyrównywanie różnic majątkowych przez zatamowanie lub skuteczne wstrzymywanie gromadzenia się kapitałów w rękach kilku jednostek i podniesienie słabych przez stosunkowe ich oszczędzanie.

Pod tym względem progressya obecnego projektu jest jeszcze daleką od ideału.

Dla wykazania słuszności powyższego zapatrywania należałoby tylko zestawić 2 podatników, według projektu, jednego z dochodem zwyczajnym 1000 złr., drugiego z dochodem rocznym ponad 100.000 złr.

Pierwszy płaci 1% od 1000 złr. tj. 10 złr., pozostaje mu zatem do opędzenia niezbędnych potrzeb, do których włączyć należy i inne podatki, kwota 990 złr.; drugiemu pozostaje po strąceniu 4% podatku od dochodu ponad 100.000 złr., kwota ponad 96.000 złr. Oczywista, że strącenie pierwszemu 10 złr. jest stosunkowo bardziej dlań uciążliwem, niż drugiemu 4000 złr., bo choćby ten ostatni zaspakajał swe potrzeby w największej ilości i jakości, to nigdy nie potrafi skonsumować całej resztującej kwoty. Drugi więc będzie w możności szybkiego kapitalizowania swoich dochodów.

Jakkolwiek więc obecna reforma nie odpowiada jeszcze całkowicie idei sprawiedliwości w dziedzinie rozdziału ciężarów publicznych, witamy ją jednak jako widomy znak postępu.

Julian Gertler.

Z CHWILI.

(KRONIKA SPOŁECZNA.)

V.

(Bill Rollita w sprawie dopuszczenia kobiet do wyborów politycznych w Anglii. — Uniwersytety ruchome w Anglii).

Bill Rollita w sprawie przyznania kobietom praw politycznych w Anglii wywołał tyle komentarzy w europejskiej prasie i takie wśród ogółu obudził zajęcie, że pragnęlibyśmy dokładnie zapoznać naszych czytelników z poruszoną w nim kwestyą.

Kobiety w Anglii nie są całkowicie wyłączone od sprawowania rządów. W sprawach dobroczynności publicznej i w szkolnictwie wywierają już one wpływ znaczny; niedawno prawo Ritchiego dopuściło je do wyborów do rad prowincyonalnych. W Londynie parokrotnie wybierano nawet kobiety do rady municypalnej i kwestyja tych wyborów nie została ostatecznie roztrzygniętą, można nawet sądzić, że, pomimo protestów niezadowolonych zwyczaj ostatecznie prawo to im przyzna. W wyborach do parlamentu kobiety udziału nie biorą, w ostatnich jednak latach w agitacyi przedwyborczej kobiety występowały nieraz, jako gorliwe popleczniczki

tego lub owego stronnictwa, tego lub owego kandydata. Wreszcie „Liga pierwiosnka“, towarzystwo polityczne, propagujące zasady toryzmu, w liczbie swych najgorliwszych członków liczy sporo kobiet. Słowem, faktycznie dziś już angielki, a raczej pewna ich cząstka biorą wcale znaczny udział nie tylko w zarządzie spraw „samorządu miejscowego“, ale nawet w decydowaniu o losach kraju. Z żywego jednak zainteresowania się pewnej grupy kobiet kwestyami politycznemi w ostatnich czasach, wnosić możemy „a priori“, że taki pośredni wpływ na wybory, jaki dzisiaj mają, zadowolnić ich nie może. Istotnie też istnieje w Anglii masa stowarzyszeń kobiecych, dążących do pozyskania praw politycznych. Niejednokrotnie już wnoszono do parlamentu odpowiednie bille.

Anglicy są wytrwali, systematyczne odrzucanie billu nie zraża ich nigdy, jeżeli z liczby głosujących widzą, że projekt zyskuje wciąż, aczkolwiek powoli, nowych zwolenników. Taką drogą dążą Anglicy we wszystkich sprawach politycznych, takiej też trzymali się w kwestyi nas interesującej. Z zupełną też świadomością nieuniknionej na teraz porażki w lutym roku bieżącego, wniósł poseł konserwatywny Rollit swój projekt do izby. Żądania jego były dość skromne. Nie domagał on się wcale wybieralności kobiet do parlamentu, nie myślał więc o kobietach deputowanych, lub ministrach, co tak pobudza do wesołości dowcipnisiów.. Żądał on tylko, żeby kobiety miały prawo uczestniczyć w wyborze tego lub owego mężczyzny na przedstawiciela danego okręgu w parlamencie. Nie chodziło mu zresztą o wszystkie kobiety, lecz tylko o te pełnoletnie panny i wdowy, które mają samodzielne mieszkania i ponoszą z tego powodu pewne ciężary. Zasada taka, analogiczna zresztą do zasad, regulujących prawo wyborcze mężczyzn, powołałaby do urn wyborczych 800 — 900.000 kobiet, korzystających obecnie z prawa wyborczego do rad prowincyonalnych, czyli powiększyłaby ogólną ilość wyborców o jakie 15%.

Od czasu wniesienia billu do izby rozpoczęła się agitacya wśród publiczności. W Londynie i niektórych miastach prowincyonalnych poczęły się zgromadzać z początku nieliczne mityngi, zwykle u członków „Ligi swobód kobiecych“ lub „Narodowego stowarzyszenia głosowania kobiet“. Zebrania takie kończyły się wystosowaniem do izby petycyi, które gromadziły się coraz liczniej. Agitacya przybierała wciąż szersze rozmiary, kwestyją zainteresowały się pisma, aż wreszcie sam „wielki starzec“ Gladstone uznał za stosowne ogłosić „list otwarty“ w tej kwestyi. Rozumowania jego skierowane są nie tyle przeciw samemu billowi Rollita, stosującemu się, jak widzieliśmy, tylko do panien i wdów, ile raczej do nieuniknionych w przyszłości uzupełnień tego billu. Kobiety utracą w wirze walk politycznych najlepsze swe przymioty, udział ich w wyborach wniesie zamęt w stosunki rodzinne, wreszcie za prawem wyborczem pójdzie z czasem z konieczności dopuszczenie kobiet do parlamentu, co byłoby już szczytem niewłaściwości.

List Gladstone'a wywołał cały szereg listów do redakcyj, broszur i mityngów. Charakterystyczną jest rzeczą, że w rzędzie najzagorzalszych przeciwników praw kobiecych spotykamy przedewszystkiem same kobiety. Zwrócić należy jeszcze uwagę na tę okoliczność, że te przedstawicielki dawnych ideałów przejęte są do głębi godnością rodu męzkiego, do którego należą ich mężowie, narzeczeni, bracia i synowie. „Jako żona i matka pisała niedawno w „Daily Nevs“ przedstawicielka tego obozu, żywię niepłonną nadzieję, że wszyscy członkowie parlamentu, zarówno radykaliści, jak i toryści, będą głosowali przeciw billowi Rollita i przeciw wszelkiemu innemu billowi, który zrównałby płcie obie i wniósłby zamęt w stosunki rodzinne“. „Jedna nawet kobieta na tysiąc, pisała też pani w innem miejscu, nie żąda prawa głosowania. Wszystko to jest pomysłem nic nieznaczącej grupy kobiet, które, jak się zdaje, ostatecznie wyrzekły się rodzinnego życia i przekładają estradę polityczną nad ognisko domowe“.

Kulminacyjnym punkten agitacyi był „demonstracyjny“ mityng, zwołany przez ligę swobód kobiecych, na dzień 26 kwietnia, to jest w przeddzień drugiego czytania billu w parlamencie. Zebrał się on w jednej z największych sal w Londynie, w sali Saint James i rozpoczął się od gry na organie i specyalnych śpiewów. Dźwięki Marsylijanki wzywały „sióstr i braci do utworzenia prawdziwego braterstwa,“ „naprzód, naprzód, do życia i wolności!“ Po ukończeniu muzycznej części programu, rozpoczęły się rozprawy. Od razu zarysowały sie poglądy nader sprzeczne. Jedni byli w zasadzie przeciwni politycznym prawom kobiet, powtarzając argumenty Gladstona i owej matrony z „Daily News,“ inni wychodzili z wręcz odrębnego stanowiska: odrzucali bill jako niedostateczny, jako dający prawo tylko pewnej ilości kobiet.

W izbie bill napotkał opozycyę dość silną ze strony popleczników Gladstone'a. Głównym mowcą był tu Smith. Dowodził on, że „bill ten jest najbardziej rewolucyjnym projektem z przedstawionych w naszych czasach, że w każdym razie jest rozpaczliwym eksperymentem, kraj zaś ma dziś zanadto wielkie zadania, by się puszczać na waryackie doświadczenie. Jesteśmy upełnomocnionymi stróżami największego państwa, jakie świat widział kiedykolwiek, nie możemy więc pozwolić, aby podstawy tego państwa podkopywano za pomocą lekkomyślnych innowacyj“.

Rząd nie oświadczył się ani za, ani przeciw billowi. Balfour wszakże w swojem własnem imieniu przemawiał za jego przyjęciem. Wykazywał on nielogiczność liberałów, którzy w swym programie pragną prawo głosu przyznać wszystkim mężczyznom bez względu na to, czy płacą jakiekolwiek podatki i czy mogą „wskazać na mapie składowe części świata,“ a jednocześnie odmawiają prawa głosu kobietom inteligentnym i płacącym podatki. Mowę swą zakończył Balfour proroctwem, że bill odrzucony dziś powróci kiedyś do izby w formie zupełniejszej i przyjętym będzie.

Gdy Balfour przeciwstawiał głównie liberalne żądanie udzielenia prawa głosu „klasom najmniej godnym“ odrzucaniu tegoż prawa dla „jednej z najgodniejszych klas ogółu“, konserwatywny „Standard“ bronił billu z nieco innego stanowiska „Zasada własności, powiada to pismo, jest kamieniem węgielnym całego cywilizowanego społeczeństwa, wszelkiego materyalnego postępu i wielkości narodowej... Zasada ta jest dziś bardzo poważnie zagrożona. Wstępujemy w wielką walkę pomiędzy własnością a tłumami. Obrońcy prawa i porządku potrzebują więc każdego ramienia, które za nimi się podnieść może. Poparcie ze strony wszystkich właścicieli jest niezbędnie konieczne w czekającej nas walce; własność zaś nie powinna tracić swoich praw wyborczych dla tego, że do kobiety należy“. Słowem bill „najbardziej rewolucyjny“ zdaniem liberałów, jest najbardziej zachowawczy, zdaniem konserwatystów.

Wynik głosowania jest znanym: 152 posłów głosowało za billem, 175 przeciw. Większość równała się tedy 23 głosom W roku 1878 bill podobny odrzucony został większością 80 głosów. Ta różnica ilościowa wymownie świadczy, w jakim kierunku zmienia się opinia publiczna w tej kwestyi. —

Cała organizacya uniwersytecka w Anglii, początkami swemi sięgająca średniowiecczyzny zamierzchłej, po za warunki pierwotne swego istnienia nie wykraczała i prawie wcale nie zmieniała się odpowiednio do zachodzących z czasem potrzeb. Nic więc dziwnego, że przed kilkunastu laty opinia publiczna, która oddawna cierpliwie znosiła to wyjątkowo uprzywilejowane stanowisko najwyższych instytucyj naukowych, w których hodowały się prawie wyłącznie rozmaite landlordlądka, postanowiła stoczyć walkę i przebojem zdobyć te warownie arystokratyczne, zreformować i do nowych warunków przystosować. Dziwna ta walka skończyła się.... zwycięstwem obu stron. Bo uniwersytety mało ustępstw uczyniły; ale za to też na żyznym gruncie walki wyłoniła się nowa zupełnie instytucya, godna ze wszech miar uwagi. Jeszcze w 1867 roku, pewne kółko kobiet, na czele którego stanęła panna A. Clough, zwróciło się do prof. Stuarta z żądaniem, aby wypowiedział u nich odczyt naukowy. Od tego czasu prelekcye tego rodzaju raz w życie wprowadzone, zyskały dobre sympatye szerokich kół. Nie mówiąc już o prywatnych kółkach samokształcenia, rozgałęzione po całej wyspie i potężne organizacye robotnicze poszły za danym przykładem. Okazało się, że w kraju istnieje taka gorączka oświaty, przeważnie wśród dobrze się mających warstw robotniczych, nauczycieli, nauczycielek, buchalterów, że wadliwość systemu jednorazowego odczytu wystąpiła na jaw. Zdaniem prof. Stuarta, który żywo zainteresował się tym ruchem i zjednał sobie nawet zaszczytne miejsce wśród jego najenergiczniejszych bojowników, należało wprowadzić nie pojedyncze wykłady, lecz systematyczny kurs prelekcyj, kurs, składający się z rozmaitej ilości lekcyj, ale zupełnie zakończony. Myśl ta wkrótce obiegła zainteresowanych i dała nowy, silniejszy tym razem bodziec całemu ruchowi. Pod wpływem nacisku i parcia opinii publicznej, która stworzyła wspaniałą agitacyę, trzy najważniejsze uniwersytety zdecydowały się stanąć na czele całego ruchu. Organizacya uniwersytetów ruchomych polega na następującem: Pewna ilość osób, składająca się z najrozmaitszych warstw społecznych, przeważnie w rodzaju wyżej wymienionych, zgodziwszy się co do przedmiotu lub podzieliwszy się na grupy, odpowiednio do swoich upodobań naukowych, wybiera z pośród siebie sekretarza i w jednem z pism zawiadamia o utworzeniu się kółka słuchaczów w takich a takich gałęziach wiedzy. Sekretarz znosi się z sekretaryatem uniwersytetów ruchomych (istnieją one przy wszechnicach: londyńskiej, oksfordzkiej i cambridge'skiej), zawiadamia o ilości członków, o wysokości honoraryum, jakie grupa płacić jest w stanie i żąda wysłania odpo-

Nr. 11. Kraków, 1 Czerwca 1892 r. Rok II.

Wychodzi 1 i 15 każdego miesiąca.

Prenumerata wynosi w Krakowie:
rocznie . . . 7 złr. 20 centów
kwartalnie . 1 „ 80 „
miesięcznie . — „ 60 „
Za odnoszenie do domu dopłaca się miesięcznie 5 ct.
Numer pojedynczy kosztuje 30 ct.
Rękopismów drobnych nie zwraca się.

MYŚL

Prenumerata na prowincyi
i w całej Monarchii Austro-Węgierskiej wynosi:
rocznie 8 zlr. — ct., kwart. 2 zlr. — ct.
W Niemczech:
rocznie 16 m., pół rocznie 8 m., kwartal. 4 m.
We Francyi:
rocznie 20 franków, kwartalnie 5 fran.
Ogłoszenia i reklamy przyjmuje Administracya „MYŚLI“ po 10 ct. za wiersz petitem lub jego miejsce za pierwszy raz, a po 5 ct. za następne.

Redakcya i Administracya znajdują się w Krakowie przy ulicy Floryańskiej L. 32, gdzie też uprasza się nadsyłać wszelkie przekazy i pisma.—Prenumeratę przyjmują również na miejscu wszystkie księgarnie; we Lwowie księgarnie: Seyfartha i Czajkowskiego oraz Altenberga, a pojedyncza sprzedaż w biurze L. Plohna. W Poznaniu: księgarnia J. Leitgebra.

NA ZDAR!

Jubileuszowi „Sokoła“ lwowskiego zawdzięczamy przybycie do naszego grodu dzielnego zastępu Sokołów czeskich. Chcielibyśmy, aby mu tu nad Wisłą, pod strażą orłów Wawelu było tak dobrze i błogo, jak nad brzegami Wełtawy, gdzie dumny Hradczyn świadczy o lwiej sile czeskiego narodu. Mamy do tego dwa powody: pierwszy wypływa ze sympatyi dla pobratymczego i podobnego nam losami narodu, drugi, ze szczerej chęci odwdzięczenia się Czechom za serdeczne przyjęcie, jakiego doznaliśmy od nich w zeszłym roku podczas ich wspaniałej jubileuszowej wystawy.

Pobyt Sokołów czeskich na halickiej i krakowskiej ziemi nie przejdzie bez śladu, ani bez korzyści dla nas samych. Jeżeli dla kogo, to dla nas radosnem jest patrzeć na odrodzenie narodów, skazanych jeszcze niedawno na zupełny rozgrom i zagubę. Widzimy bowiem jak, mimo koalicyi wszelkich potęg zła i siły brutalnej, pomimo pozornej klęski słabszych i gnębionych, duch narodowy, za pierwszym powiewem wolności, rozbija cisnące go okowy i staje w tej potędze i sile, jakiemi zdumiewał przed laty. Hołdownik przed chwilą, sam dziś przyjmuje hołdy i w królewskim majestacie zasiada w rzeszy ludów europejskich, jako im równy w zasłudze i złożonych ofiarach na ołtarzu cywilizacyi.

W odrodzeniu narodu czeskiego niepoślednią rolę odegrało Sokolstwo. Jednocześnie z rozbudzeniem ducha, z pierwszemi szkołami narodowemi, z pierwocinami nowej literatury i sztuki, z potężną pracą około ekonomicznego podniesienia kraju, zrozumiano w Czechach potrzebę i znaczenie fizycznego rozwoju młodych pokoleń. Silny duch narodu miał się oprzeć na silnem ciele, jak marmur i bronz spoczywają na podstawie granitowej, jak śmiałe i piękne linie architektury wznoszą się na silnych fundamentach z kamienia.

Hasło odrodzenia fizycznego obiegło całe Czechy i we wszystkich zakątkach ziemi, podległej koronie św. Wacława, zawiązały się bractwa sokole. Dziś są one potęgą, bo liczą sto tysięcy członków, ożywionych jednym duchem, jedną myślą: wzmacniania swych sił cielesnych dla ważniejszej i skuteczniejszej pracy na wszystkich polach gospodarki narodowej.

Nasze Sokolstwo z wyjątkiem Lwowa, znajduje się dopiero w pierwszem stadyum rozwoju. Bylibyśmy niesprawiedliwi względem siebie, gdybyśmy nie przyznali, że te początki są dobre i wiele zapowiadające. Znaleźliśmy w sobie dość niespodziewanej energii, aby apatyę wyrzucić za drzwi. Ale to dopiero początek pracy, — słońce weszło, ale jeszcze nie grzeje. A grzać będzie dopiero wówczas, kiedy w każdem mieście i miasteczku potworzą się drużyny sokole. Zachętą ku temu jest sam widok sokołów czeskich, z których każdy nosi znamiona zdrowego ciała i zdrowego ducha.

Podkreślamy te ostatnie wyrazy, bo zdrowe ciało uważamy tylko za środek, a zdrowy duch za cel sokolstwa. Nie idzie nam o sztukę dla sztuki, o wytworzenie zastępu dobrych gimnastyków. I pod tym również względem sokolstwo czeskie winno być dla nas przykładem. Ono gimnastykuje się i wyrabia siły, aby lepiej pracować. Przez pracę podnosi bogactwo kraju, a prócz tego uczy się, czyta, popiera literaturę, sztukę, nie jest obojętne na żaden objaw życia narodowego. Sokół czeski nie woła: niech żyje gimnastyka, ale na zdar dobru publicznemu!

Te zalety sokolstwa czeskiego dają mu takie wyjątkowe stanowisko, jakie w pobratymczym nam narodzie zajmuje, — te zalety też są powodem naszej radości z powitania i sposobności ugoszczenia w drogich murach Krakowa sokolskiego bractwa czeskiego. Nazdar!

Z NIWY PIŚMIENNICZEJ.

II.

(Książę Adam Czartoryski podczas powstania listopadowego. Przyczynek do charakterystyki, oparty na własnych jego pismach, napisał L. Gadon. Kraków 1892. Z 3 portretami księcia A. Czartoryskiego).

W pełnym nieszczęść, zawodów i nadziei okresie porozbiorowym dziejów naszych, jaśnieje aureolą czci i zasług otoczona postać księcia Adama Czartoryskiego, jako wzór nieskazitelnej cnoty, patryotyzmu i poświęcenia bez granic. Z nielicznego grona największych i najzasłużeńszych w owym okresie mężów stanu nie wiele postawić można w jednym rzędzie z tym prawdziwie rzymskich cnót pełnym mężem, który w chwili najrozpaczliwszych wysiłków narodu w roku 1831 był ostatnim jego widomym reprezentantem i na tem stanowisku wytrwał aż do smutnego końca i z tą wiarą i ufnością w szczęśliwszą przyszłość narodu rzucał ojczyźnie w ofierze swoją osobę, majątek i konsekwencyę własnych przekonań i własnej przeszłości. Dzisiejszym epigonom spaczanej polityki narodowej warto stawić przed oczy tę wzniosłą postać jako wzór i przykład do naśladowania. Twórca niemal Królestwa kongresowego i konstytucyi, statysta i polityk wzorowy i rozważny, nie waha się wbrew może swym przekonaniom, ale w dobrze pojmowanem poczuciu obowiązku patryotycznego i narodowego rzucić się w odmęt prądów, które uniosły cały naród i z niemi razem popłynąć.

Oto co nam czyni drogą tę postać i co jej zapewnia cześć i sławę w narodzie. Literatura nasza nie posiada dotąd pełnego życiorysu księcia Adama Czartoryskiego. To, co mamy, są same fragmenta, nie obejmujące całości życia i działalności, ale z fragmentów tych, którym tak świetny dał początek swem dziełem śp. Bronisław Zaleski, w niedługim może już czasie doczekamy się całkowitej monografii. Bez niej niepodobna zrozumieć wielu ważnych szczegółów historycznych, a przedewszystkiem pobudek i działalności księcia na stanowisku prezesa rządu narodowego w 1831 r.

Jeden z takich nader cennych do tej epoki przyczynków tem pożądańszy i ważniejszy, że na nieznanych i nieogłaszanych listach oparty, przynosi nam praca p. Gadona. Na podstawie własnych listów i pism księcia Adama, daje tu autor charakterystykę jego, jako prezesa rządu narodowego z 1831 r. Strona to dotąd z całej działalności księcia najmniej znana i może dla tego najbłędniej oceniana i komentowana. Obecnie po pracy p. Gadona i po ogłoszeniu materyałów tamże zużytkowanych znika wszelka wątpliwość co do pobudek, jakie kierowały czynnościami księcia, znikną wszelkie błędne o nim mniemania, przedstawi się w jasnem świetle cała kierowana przezeń akcya i usuną się wątpliwości, nierozstrzygnięte przez historyków. A źródło, na którem oprzeć można te sądy, jest najwiarygodniejsze. Nigdzie bowiem bardziej nie wylewa się dusza, nigdzie szczerszemi nie są zwierzenia jak w listach do najbliższych i najukochańszych w rodzinie osób. Psychologiczne rysy charakteru odsłaniają tu szczegóły pierwszorzędnej wagi do charakterystyki danej postaci, a jak w tym wypadku pierwszorzędnej również doniosłości dla uzupełnienia historycznego tła obrazu chwili dziejowej. Na zasadzie listów księcia Adama pisanych w czasie powstania listopadowego z Warszawy do żony i siostry, a znajdujących się w posiadaniu Izabelli z ks. Czartoryskich hr. Działyńskiej, oraz listów do księżnej Wirtembergskiej, znajdujących się w archiwum rodzinnem ks. Wład. Czartoryskiego, uzupełnia p. Gadon charakterystykę ks. Adama Czartoryskiego i stara się wyjaśnić pobudki, jakie skłoniły księcia do wzięcia udziału w ruchu i odegrania w nim najwybitniejszej roli. Dokumenty te, bezwarunkowo pierwszorzędnej wagi dla historyka, nie zmieniają jednak w niczem dotychczasowych sądów o ks. Adamie. Widnieje w nich wszędzie w nieskazitelnej czystości charakteru i pobudek moralnych mąż stanu, oddający się z bezgranicznem poświeceniem na usługi ojczyzny. Niezmącona w niczem roz-

waga umysłu i spokój duszy, powołanej do odegrania wielkiej roli, odzwierciedla się w najdrobniejszym ustępie tych listów. Nie zamącają w niczem tego spokoju ani chwilowe tryumfy oręża polskiego, ani wieści o jego porażkach. Z wytrwałością i wiarą, z poczuciem wzorowem od pierwszej do ostatniej chwili stoi z najwyższą godnością na straży sprawy narodowej. A wiadomo jak ciężkiem i trudnem było stanowisko prezesa rządu ówczesnego. Rząd ten z pięciu ludzi złożony, szarpany nieustannie rozterkami wewnętrznemi i zawiścią swoich członków, pełnych nieufności do siebie, pozbawiony powagi wobec wojska i sejmu, był bladą marą rządu i dla tego nie mógł zdobyć sobie uznania dworów europejskich. Czartoryski łudził się w duszy nadzieją pomocy Europy, jak łudzili się nią wszyscy, ale nie liczył na nią zbytnie i nie brał tych nadziei do politycznej rachuby. Jeżeli dotąd pomawiano go o takie kunktatorstwo polityczne, to wobec listów tych zarzut ten ustępuje stanowczo. Pomiędzy listami do najciekawszych i najcenniejszych należą listy księcia do jenerała Skrzyneckiego, z których przebijają się wielkie zdolności wojskowe i z których okazuje się, że prezes rządu byłby niewątpliwie lepszym wodzem jak Skrzynecki, który tyle najpiękniejszych zwycięztw zmarnował i powolnością działania przyspieszył upadek powstania. Autor kreśli pobieżnie cały przebieg wojny aż do chwili wkroczenia korpusów Ramoriny i Różyckiego do Galicyi. Tu opisuje wkroczenie Moskali do Krakowa i ucieczkę księcia Adama z Krakowa do Podgórza.

Cała książka napisana w sposób lekki i zajmujący, zawiera mnóstwo nieznanych i nader ciekawych przyczynków do historyi powstania 1831 roku, a między innemi ważne szczegóły, dotyczące zachowania się Lelewela w rządzie narodowym i jego stosunku do księcia Adama. Zarówno jako materyał źródłowy dla historyka jak i jako monografia jednej z najwybitniejszych postaci naszej porozbiorowej przeszłości, książka p. Gadona ma wartość nieprzemijającą. W. Prokesch.

POLSKA POEZYA W NIEMIECKIEJ SZACIE.

Faktem jest niezaprzeczonym, że przekładami naszych rodzimych płodów literackich interesujemy się żywo i gorąco, a w kronikach literackich zapisujemy skwapliwie wszystkie w tym kierunku objawy. Czy jest w tem racya? Czy prócz uczucia zaspokojonej próżności i ambicyi, nie wchodzą tu w grę czyniki głębsze z pewną moralną podstawą?

Niewątpliwie. Oczywiste one dla każdego, kto pojmuje i należycie ocenia wyjątkowe stanowisko, jakie wobec naszego narodowego życia zajmuje piśmiennictwo. A jeżeli poezya każdego narodu czerpie swe soki z najgłębszych podstaw jego istnienia, z owej wewnętrznej duchowej treści, która się w nim skupia, o ileż pod tym względem ważniejsze ma zadanie piśmiennictwo narodu, politycznie ubezwładnionego, owo jedyne świadectwo jego żywotności.

Zrozumiały to snać i obce narody. Bo i jakże wytłómaczyć sobie fakt, że najliczniej ukazywały się przekłady z literatury naszej wtedy właśnie, kiedy nami najwięcej się interesowano, kiedy nam lepsza zapowiadała się dola. Rok 1831, z pomocą Mickiewiczowskiego geniuszu, wzbudził w uśpionych narodach europejskich ciekawość za egzotycznemi tworami słowiańskiej lutni, zaostrzył apetyt na literackie płody narodu, kruszącego pęta niewoli. Gdy duch wielkiego Adama i jego drużyny nie zawiódł oczekiwań, uwierzono w żywotność narodu.

Dzisiaj stosunki nieco się zmieniły. Czynnik polityczny, który dawniej tak wszechwładnie rządził, zapalał głowy, gorączkował umysły wprawiał w entuzyazm, osłabł dziś w sile, ustępując pola innym czynnikom dziejowym. U szerokich mas obcych narodów niema już dziś tej szczerej, powszechnej chęci zapoznania się z naszą literaturą. Zastąpiły ją natomiast pojedyncze usiłowania literatów, tem godniejsze uznania, że paraliżują je czesto głęboko zakorzenione przesądy i uprzedzenia.

Z pośród narodów europejskich — niemieckiemu przyznać musimy pierwszeństwo pod względem znajomości i zainteresowania, jakie ma dla wszystkich cenniejszych nabytków naszej piśmienniczej twórczości. Mickiewicz i Kraszewski, Ell.....y i Orzeszkowa, w żadnym obcym języku nie są tak spopularyzowani, jak w niemieckim. Ta wielka ilość przykładów nie pozostaje bez skutku. Na tle tych właśnie przykładów bystry umysł Jerzego Brandesa rozwinął śmiałe i szerokie poglądy na twórczość polskiego ducha w XIX w., popularyzując swym świetnym i powszechnie cenionym wykładem znajomość naszej literatury.

Lipiner i Nitschman, Gumplowicz i Weiss (że wymienimy tylko najważniejszych) — oto imiona owych pośredników, którzy wielką falangę niemieckich czytelników zaznajamiają z naszą poezyą. Pióro tego ostatniego obdarzyło właśnie niedawno niemiecki świat literacki antologią poezyi polskiej, którą i nam wypada rozpatrzyć, skoro ma ona być wyrazem naszego poetyckiego dorobku i świadectwem naszej cywilizacyjnej dojrzałości. *)

Oto mniej więcej imiona autorów, których utwory weszły w niniejszy zbiorek: Anczyc, Asnyk, Bałucki, Bełza, Brodziński, Buława (Władysław hr. Tarnowski), Czesław (Jankowski), Deotyma, Gaszyński, Górecki, Grajnert, Hajota, Kochanowski, Konopnicka, Krasiński, Kraushar, Lenartowicz, Mickiewicz, Morawski, Rzętkowski, Siemieński, Syrokomla, Ujejski, Wasilewski i Zaleski.

Czy tłómacz zadaniu podołał? Czy pokonał szczęśliwie trudności, jakie tu niemal na każdym kroku się nasuwają? Czy najpierw odczuł i pojął ducha poezyi polskiej w jej rozlicznych formach, a następnie czy zrozumiał i potrafił wyróżnić i uwydatnić ową całą skalę różnych poetyckich indywidualności?

* „Polnische Dichtung in deutschem Gewande" von Albert Weiss, Halle a. d. S. Druck u. Verlag von Otto Hendel.

KLĘSKA

(La débâcle).

POWIEŚĆ

przez

EMILA ZOLĘ.

7) CZĘŚC PIERWSZA.

I.

— Co tu gadać!... — krzyknął głośno Loubet, z tym śmiechem złośliwym, właściwym dzieciom straganiarek — przecież nie tędy prowadzi droga do Berlina!

Do Berlina!... do Berlina!... Maurycy słyszał przecież jak okrzyk ten wrzeszczały tłumy na bulwarach, owej nocy szalonego entuzyazmu, który go zachęcił do zaciągnięcia się do wojska!...

Teraz wiatr zmienił kierunek pod grozą burzy i przeskok straszny był i uwidocznił się w nim cały temperament rasy, naprzód w tej ufności bezgranicznej, która zniknęła przy pierwszych niepowodzeniach, później w tem zrozpaczeniu, które i jego samego ogarnęło tak szybko pomiędzy tymi żołnierzami tułającymi się, zwyciężonymi i rozproszonymi wprzód jeszcze, zanim w ogień poszli.

— Ach!... ten dyabli karabin łapy mi odpiłuje!... — wykrzyknął Loubet, przekładając raz jeszcze broń z ramienia na ramię. To ci dopiero przyjemna laseczka do spacerowania z nią!...

I przypominając sobie ile wziął za to zastępstwo pod bronią, dodał:

— Co tu gadać!... — półtora tysiąca franusiów!... za pełnienie takiego rzemiosła... to wściekle mało!... Okradają nas!... Ileż to pysznych fajek dobrego tytoniu wypalać musi teraz u swego rodzinnego ogniska ten bogacz, na którego rachunek ja mam śledzia połknąć!...

— A ja!... — zawołał Chouteau właśnie wysłużyłem swój czas i już chciałem drapnąć... Ale gdzież tam!... Trzeba mieć moje szczęście, żeby się w taką świńską awanturę zaplątać!...

Z wściekłą pasyą bujał karabinem swoim i w jednej chwili, nagle rzucił go na drugą stronę przez wierzch płotu.

— Bierz cię dyabli!... — podłe narzędzie!...

Karabin dwa koziołki wywróciwszy w powietrzu, padł nareszcie w bruzdę i został tam długi, bez ruchu, trupa przypominający. Już inne karabiny leciały w powietrzu za tym pierwszym i koło niego się kładły. Niebawem pole zostało zasłane bronią, leżącą, martwotą swoją smutne sprawiającą wrażenie, pod tem ciężkiem i dusznem słońcem. Było to jakieś zaraźliwe szaleństwo! Głód ściska wszystkie żołądki, obuwie rani nogi, ten marsz tak forsowny i bolesny, ta klęska nieprzewidziana, której grozę po za sobą wszyscy odczuwali... Niczego się dobrego spodziewać nie można, a wodzowie uciekają, intendentura nie żywi nawet żołnierza, znużenie, ogłupienie, chęć skończenia od razu z tem wszystkiem, zanim się jeszcze zaczęło... A więc co?... karabin!?... Na co karabin!?... Niech sobie karabin idzie tam, gdzie poszedł tornister!... I w głupiej bezmyślnej wściekłości, wśród śmiechu szaleńców, których to bawiło, karabiny leciały wzdłuż całej linii maruderów, ciągnącej się bezgranicznie i rozrzuconej po drodze i polach.

Loubet zanim rzucił swój karabin, młynka nim wywinął, jak tamburmażor laską swoją długą. Lapoulle widząc, że koledzy broń rzucają, pomyślał sobie zapewne, że to manewr taki, czy ćwiczenie i zrobił toż samo. Ale Pache, w nieświadomem poczuciu obowiązku, które zawdzięczał swemu wychowaniu religijnemu, nie chciał naśladować innych, za co go Chouteau obelgami obrzucił, zwiąc go księżym synem!

Wogólności odpowiedź wypadnie twierdząco. P. Weiss rozumie nietylko po polsku, ale i ducha naszej poezyi, a ubierając ją w niemiecką szatę nie pozbawia jej poetyckiego wdzięku i oryginalnej krasy. Są w tym zbiorku przekłady np. Anczycowego „Tyrteusza“ lub „Cyganki“ Lenartowicza, które wprost zadziwiają swoją udatnością. Jest tu nie tylko układ oryginału wiernie zachowany, forma niemiecka doskonała, ale nad temi niemieckiemi zwrotkami unosi się woń prawdziwie polskiej poezyi.

Bardzo poprawnym jest przekład poezyi Ujejskiego, którego muza w zbiorku bardzo bogato jest reprezentowaną, a dla którego tłómacz widocznie głęboki żywi pietyzm, dalej Czesława Jankowskiego, którego kapryśna misterna forma („Różowy listek“, „Arabeski“) w przekładzie nic na piękności nie straciła. Za bardzo szczęśliwy pomysł tłómacza uznać należy przekład kilkunastu czy nawet kilkudziesięciu pieśni ludowych z Górnego Szląska, według zbioru Juliusza Rogera. Interesują one nietylko jako samorzutny objaw twórczości polskiego ludu, ale i dla etnografa nie powinny być bez znaczenia.

W ogólności udały się tłómaczowi najlepiej utwory „par excellence“ liryczne, wpadające w ucho śpiewną rytmiką, niejednokrotnie i w przekładzie zachowaną w całej dziewiczej świeżości. Gorzej, jakkolwiek jeszcze wcale nieźle, wypadły utwory w stylu refleksyjnym, który nie zdaje się odpowiadać temperamentowi tłómacza. Niemczyzna p. Weissa dobra, gładka, pozbawiona owych licencyj poetyckich, których tłómacze (jak i niezdolni wierszokleci) tak często zwykli używać, a częściej jeszcze nadużywać.

Oddawszy słuszne pochwały, podniesiemy również ujemne strony wydawnictwa, aby od podobnych uchronić na przyszłość tłómacza, który specyalnie zajmuje się przekładami z literatury polskiej, zwłaszcza, że zarzuty dotyczą głownie strony formalnej. Przedewszystkiem zarzucić mamy tłómaczowi chaotyczność w układzie zawartych w zbiorku utworów; dzięki jej znajdujemy poważnego wieszcza z Czarnolasu w towarzystwie... Hajoty. „Logika alfabetu!“, odpowie nam tłómacz; to go jednak bynajmniej nie usprawiedliwia. Tłómacz winien był się trzymać pewnego systemu, pewnej metody, najlepiej zaś było użyć metody historycznej, któraby czytelnikowi dała sposobność śledzenia ducha poezyi polskiej w jej historycznym rozwoju. Gdyby jej autor użył, nie popadłby był i w drugą kardynalną wadę: zupełne pominięcie jednego z naszych największych poetów i niezrozumiałe dla nas lekceważenie ostatniej poetyckiej generacyi. Z naszej strony chętniebyśmy się zrzekli niektórych poezyj dla jednego „wierszyka“ Słowackiego, o którym w całym zbiorku ani słychać. Wolelibyśmy stokroć choć próbkę młodych, ale silnych talentów ostatniej doby: Kasprowicza, Rossowskiego i Tetmajera, choćby jedynie w tym celu, by wskazać na niezamierającą żywotność poezyi polskiej, od ckliwych wierszy Siemieńskiego, który bez wątpienia sam był lepszym tłómaczem, niż oryginalnym poetą.

Nakoniec słowo o utworach tłomaczonych. Wypadnie nam tu powtórzyć to, co już gdzieindziej poruszono, z okazyi ukazania się niemieckiego przekładu poezyj Asnyka. Słusznie zauważył wtedy jeden z krytyków (w warszawskiej „Niwie“ r. 1887) że w wyborze utworów, przeznaczonych do tłómaczenia nie można i nie należy kierować się bezwzględną dowolnością. Należy z pośród utworów każdego poety wybrać te przedewszystkiem, które w twórczości danego poety są najbardziej typowemi, które stanowią jego poetycką indywidualność. Jeżeli zatem jakiś autor przechodził początkowo fazy, w których obcym ulegał formom, a dopiero z chwilą zmężnienia swego talentu oryginalną na wskroś rozwinął twórczość w całej pełni swego indywidualnego talentu, obowiązkiem jest tłómacza te właśnie przedewszystkiem przyswoić utwory, które tej oryginalnej indywidualności są świadectwem, które stanowią owo indywidualne „ja“ danej jednostki. Źle więc postąpił sobie tłómacz, wydobywszy z całego skarbu Mickiewiczowskiej poezyi — jeden jedyny sonet „Przypomnienie“, pochodzący (podług Chmielowskiego) z r. 1822, nie mogący zatem dać ani w przybliżeniu wyobrażenia o twórczości naszego króla poetów. Źle także wypadli w tłómaczeniu, skutkiem tego braku artystycznego krytycyzmu: Krasiński i Ell...y, a zwłaszcza ten ostatni. Czy w szeregu jego utworów tłómacz nie widział nic więcej, prócz kunsztownie utoczonych erotyków, których tłómaczenia tem łatwiej było dokonać, ile że w formie częstokroć zbliżone są do Heinego? A gdzie „Wierzba na pustkowiu“, gdzie „Noc pod Wysoką“?

Gdyby — powtarzamy to raz jeszcze — tłómacz wskazaną posługiwał się metodą i z pośród utworów każdego wybitniejszego te przedewszystkiem tłómaczył, które dla jego twóczości najbardziej są charakterystyczne, mielibyśmy przed sobą żywą galeryę najcharakterystyczniejszych fizyognomij z polskiego parnasu. Na takiej to, starannie i gruntownie opracowanej podstawie, mógłby się oprzeć obcy historyk literatury, kreśląc w ogólnych zarysach syntezę polskiej poezyi.

Strasz.

WOLNE MYŚLI.

(FEILETON).

A więc, kochana pani Opinio, nie jesteśmy w zgodzie ze sobą co do sprawy Matejki. Ty, pani Opinio, stajesz po stronie Rady miejskiej i cieszysz się, że zwalono „ruderę“, mnie zaś żal i rudery, żal i Matejki.

Nie należałem nigdy do bałwochwalców wielkiego malarza, nigdy mu nie paliłem kadzideł jak zbawcy i największemu mężowi narodu, owszem gniewały mnie hołdy bezrozumne i bezgraniczne. Co więcej, byłem może wyjątkowo odważnym i kiedy wszystko płaszczyło się, przed projektami Matejki na pomnik Mickiewicza, ja się z nich głośno

— To ci dopiero świętoszek!... w zakrystyi się urodził!... Idź że sobie małpo jedna do mszy służyć... Wiesz!... to podle jest nie trzymać z kolegami!...

Bardzo chmurny Maurycy szedł, nic nie mówiąc, z głową pochyloną pod niebem, które ogniem zionęło. Szedł już jakby w półmartwocie okropnego zmęczenia, przed oczyma mu jakieś postacie halucynacyjne tańczyły, jak gdyby go wciągnąć chciały w jakąś przepaść, tam gdzieś daleko... Była to jakby abdykacya całej wyższości człowieka wykształconego, jakieś poniżenie, które go równało z poziomem tych nędznych, jacy go otaczali.

— Do pioruna!... — wykrzyknął wreszcie, zwracając się do Chouteau — masz racyę!...

I Maurycy już położył karabin na kupie kamieni, gdy spostrzegł to Jan, który usiłował naprożno oprzeć się temu, niegodnemu żołnierzy, porzucaniu broni. Kapral poskoczył ku niemu.

— Natychmiast podnieść broń... natychmiast!... Rozumiesz mnie!...

Fala strasznego gniewu nabiegła do twarzy Jana. On zwykle tak spokojny, zawsze skory do zgody, miał w tej chwili oczy pałające i piorunujący głos, symbol władzy stanowiący. Pluton, który nigdy takim nie widział swojego kaprala, przystanął zdziwiony.

— Podnieść natychmiast broń!... — bo będziasz miał ze mną do czynienia!...

Maurycy cały drżący, z gniewem jeden tylko wyszeptał wyraz, w którym zamknąć chciał całą swoją pogardę dla Jana.

— Chłop:...

— Tak, tak właśnie... ja jestem chłop, a ty jesteś panicz!... adwokat!... I dla tego, że jesteś panicz, to jesteś świnia!... tak!... brudna świnia!... Mówię ci to w oczy!...

Podniosły się krzyki, ale kapral mówił dalej z siłą niezrównaną.

— Kiedy się ma wykształcenie... to się tego czynem dowodzi!... Jeśli my jesteśmy chłopi i bydło, to pan powinieneś być dla nas przykładem, ponieważ wiesz i umiesz dużo więcej, niż my!... Bierz broń!... u krocset dyabłów, albo cię każę rozstrzelać na pierwszym postoju!...

Ujarzmiony Maurycy podniósł karabin. Łzy wściekłości przepełniały mu oczy. Szedł, dalej już, chwiejąc się na nogach, jak człowiek pijany, pośród towarzyszy, którzy szydzili z niego, że uległ. Ach!... ten Jan!... Nienawidzidził go nienawiścią bezgraniczną, do głębi serca dotknięty tą nauką tak surową, której słuszność jednak uznawał.

A gdy Chouteau szemrać pod nosem zaczął, że na kaprali takiego gatunku przychodzi kreska w dniu bitwy gorącej, i wtedy niewiadomo skąd kulka im się w łeb dostaje, Maurycemu w oczach się czerwono zrobiło i zobaczył sam siebie, jak Janowi czaszkę roztrzaskuje przyczajony za jakimś murem.

Tymczasem uwagę gdzieindziej zwrócono. Loubet spostrzegł jak Pache podczas tej kłótni także porzucił swoją broń, ale pocichutku, spokojnie, kładąc karabin delikatnie wśród rowu. Dlaczego?... nie umiał tego wytłumaczyć, uśmiechał się tylko głupkowato niby z figlów, niby ze wstydu, jak chłopak zwykle bardzo grzeczny, którego na pierwszem łobuzostwie złapano. Bardzo wesół, jakby odżył na nowo, szedł sobie z pustemi rękami. I po długich drogach, światłem słonecznem oblanych, pomiędzy chmielnikami, a zbożem dojrzałem, które następowały po sobie naprzemian, ciągle do siebie podobne, rozsypka się szerzyła... Maruderzy ci bez tornistrów i bez broni, byli już tylko tłumem zbłąkanym, idącym przed siebie bezwiednie, mieszaniną żebraków i łotrów, na zbliżenie się których wrota wioski każdej zamykać się powinny!...

śmiałem wierszem i prozą, a kiedy we Lwowie składano wieńce przed jego obrazem „Trzeci Maja", ja na tem samem co dziś miejscu pisałem w „Wolnych Myślach", że wielki malarz niezrozumiał, jak się przedstawić powinno potężną chwilę dziejową, że na każdym kroku odbiegał od prawdy i tradycyi, zapomniawszy snać, że nie Trzeci Maj do niego, ale on do Trzeciego Maja stosować się winien.

Z drugiej strony również wierszem i prozą żartowałem sobie ze „znawców", co w szpitalu Ś-go Ducha upatrywali wspaniały zabytek architektury i przyklaskiwałem Radzie miejskiej, skazującej tę budowlę na rozebranie, z pozostawieniem tylko części, uznanej przed dwoma laty przez wszystkich radców za „posiadającą wartość artystyczno-archeologiczną".

Przytaczam te moje zapatrywania dla zaznaczenia, że w sprawie zajścia Matejki z Radą miejską, nie przemawia w fejletonie „Myśli" ani zagorzały wielbiciel „rudery", ani zbzikowany adorator wszystkiego co „mistrz" namalował, powiedział, lub ogłosił wszemu światu, a przed czem liczna rzesza padała plackiem i biła się w piety.

Po tem zastrzeżeniu przystępuję *ad rem.* Kiedy Rada miejska uchwaliła zburzyć „z żalem" ostatnią część gmachu szpitala, nie pozbawioną wartości zabytku architektonicznego, magistrat ogłosił licytacyę na rozebranie pozostałych murów, na której utrzymała się oferta p. Kopla Grünwalda, ofiarującego za ten interes 181 złr. Jednocześnie prawie, bo na drugi czy trzeci dzień po p. Koplu Grünwaldzie, wniósł swą ofertę Matejko. W liście niezwykle szczerze i serdecznie napisanym upraszał bardzo pokornie znakomity nasz artysta Radę miasta, aby darowała mu budynek przeznaczony na rozebranie, a on go odrestauruje swoim kosztem na pracownię dla siebie i na mieszkanie dla swoich dzieci. Żądanie Matejki obalało najsilniejszy argument zwolenników zburzenia gmachu, a mianowicie wzgląd na koszta, jakie za sobą pociągnęłaby restauracya budynku, które to koszta według komisyi teatralnej byłyby znacznie wyższe nad wartość artystyczno-archeologiczną pozostałej części murów.

Gdyby ofertę tego rodzaju przedłożył nie Matejko, ale ktokolwiekbądź inny, jeszcze należałoby się zastanowić i dobrze namyśleć, zanimby ją się odrzuciło. Rada „z żalem" uchwaliła zburzenie budynku, a więc uznawała jego wartość, — obawa przed kosztami wobec podobnej czyjejkolwiekbądź oferty przestałaby istnieć, — szłoby tylko o to, czy wnoszący ofertę może dać pewność, że gmach przyprowadzi do należytego stanu za pomocą stylowej restauracyi. Jeżeli i wówczas byłoby rzeczą konieczną porozumienie się bliższe z oferującym i głębszy namysł przed ostateczną w tym względzie uchwałą,—to o ileż rzecz nabrała znaczenia, kiedy z prośbą do Rady wystąpił nie ktokolwiekbądź, lecz człowiek, co tak wysoko nosi sztandar sztuki, a który z Krakowem, z jego teraźniejszością i przeszłością tak silnie jest związany. Nie ulega też żadnej wątpliwości, że budynek wyrestaurowany przez Matejkę, przy jego fantazyi artystycznej i dokładnej znajomości cech i warunków dawnej stylowej architektury, posiadałby niezatarte piętno artyzmu i powiększyłby niewielką bądź co bądź liczbę oryginalnych i pięknych zabytków starego Krakowa.

Rada miejska jednak z lekkiem sercem przeszła do porządku dziennego nad prośbą Matejki, a do przejścia tego pomógł jej cud, za jaki uważać należy zapadnięcie się w przeddzień jej uchwały części sklepienia pozostałych murów (sprowadzono w tym celu podobno za zaliczką Ravachola). Kiedy argument tyczący się kosztów upadł sam przez się, podniesiono znacznie wyżej dotychczasowe podrzędne argumenty. A więc: mury są słabe, gmach się wali; a więc: budynek będzie zasłaniał gmach nowego teatru; a więc: na parterze jest wilgoć, — dzieci Matejki się pochorują; a więc: dzieci Matejki mogą z czasem sprzedać dom pierwszemu lepszemu żydowi, który sobie urządzi w nim skład mebli, sklepiki z wiktuałami, a w każdym razie dla względów praktycznych nie zawaha się poświęcić pięknych szczegółów architektonicznych i zniszczy pomału tak zewnętrzną jak i wewnętrzną piękność budynku. I jeszcze jeden argument przytoczono: ofiarowanie gmachu Matejce będzie stratą finansową dla miasta, gdyż plac powstały po zburzeniu gmachu, będzie przedstawiał wartość kilku, a może nawet kilkunastu tysięcy reńskich. Wszystkie te argumenty są nadzwyczaj łatwe do zbicia. Miasto straciłoby tylko idealną wartość gruntu, boć go przecież sprzedać nie zamyśla. Zasłonięcie budynku teatralnego i to części bocznej strony, byłoby bardzo niewielkie, co na miejscu łatwo sprawdzić można. Wilgoć na parterze może obchodzić Matejkę a nie radców miejskich, którzy w tej wilgoci mieszkać nie będą. Jeżeli gmach się zawali, to straci na tem również tylko Matejko; — zresztą rzecz dziwna, że kiedy nie walił się przez setki lat, okazał chęć ku temu dopiero przed paru tygodniami, przenikając widocznie myśli i życzenia członków komisyi teatralnej. Cudowne to zapadnięcie się części sklepienia w takim wieku niewiary, jak wiek XIX, powinnoby sprowadzić ścisłe dochodzenie i wykryć cudotwórcę, czy Ravachola. Jedyny argument, mogący przemówić w obronie uchwały Rady, a mianowicie obawa przed przejściem budynku w cudze i nieodpowiednie ręce, mógł zostać uchylony za porozumieniem się z Matejką. Kto wie, czy nie byłby on przystał na warunki, ubezpieczające pod tym względem własność budynku. Pojąłby prawdopodobnie obawę Rady miasta i zgodziłby się na taki punkt w ugodzie, któryby nadał miastu prawo pierwszeństwa w nabyciu budynku, lub też z góry zastrzegł przejście jego na własność miasta po latach 25 lub 50 za umówionem z góry wynagrodzeniem spadkobierców. Kto wie, czy w ten sposób nie stałby się z czasem szczątek gmachu św. Ducha muzeum imienia Matejki, mieszczącem w sobie zachowaną i w niczem nie naruszoną jego pracownię, oraz niektóre jego obrazy, pamiątki po nim itd.

W tej chwili nowe spotkanie do reszty rozwścieklilo Maurycego. Zdala dał się słyszeć ciągły i zbliżający się turkot — była to rezerwa artyleryi, która wyruszała ostatnia, a której czoło nagle z za zakrętu drogi się wysunęło. Maruderzy zaledwie zdążyli odskoczyć na pola sąsiednie. Artylerya szła w kolumnach, defilowała wspaniałym truchtem, w doskonałym porządku, bez zarzutu, cały pułk z sześciu szwadronów, pułkownik na przedzie, a po środku oficerowie na swoich miejscach. Armaty przechodziły, dudniąc w równych odstępach, dokładnie zachowanych, za każdą postępował do niej należący wóz z amunicyą, konie i ludzie w liczbie i porządku. I Maurycy w piątym szwadronie poznał od razu armatę kuzyna Honorego. Podoficer jechał na swojem miejscu, siedząc dumnie na lewo od żołnierza, pierwszą parę z konia prowadzącego, przystojnego i rosłego chłopa z jasną blond głową, Adolfa, który jechał na pysznym gniadoszu, wybornie dobranym do pary, z kłusującym obok niego rumakiem. Pomiędzy sześcioma, obsługującymi armatę, siedzącymi po dwóch na lawetach armaty i wozu, znajdował się, również według regulaminu, na swojem miejscu Ludwik, nastawiacz, mały brunet, kolega Adolfa, jego para, jak mówiono wedle zwyczaju, żeniąc tak każdego konnego z pieszym. W oczach Maurycego, który się z nimi poznał w obozie, wydali się oni większymi niż zwykle, a armata zaprzężona w cztery konie i za nią wóz z amunicyą, przez sześć innych koni ciągniony, w jego oczach wyglądała jaśniejąca jak słońce, wyczyszczona, wygłaskana, ukochana przez wszystkich swoich, przez konie i ludzi, skupionych około niej w doskonałej karności i jakby czułości wzajemnej. Wszystko to razem stanowiło coś jakby rodzinę odwagi pełną i Maurycego zabolało najbardziej wzgardliwe spojrzenie, jakie kuzyn Honory rzucił na maruderów, zanim pośród tego stada ludzi bez broni i jego rozpoznał. Już defilada się kończyła, za pułkiem ciągnęły wozy, ze wszystkiemi potrzebami do bateryi, przedłużniki, wozy z furażem, kuźnie... Później, w ostatnim obłoku kurzu swobodni ludzie i konie na zmianę i kłus uniósł ich wszystkich aż zniknęli za innem zagięciem drogi wśród coraz bardziej ginącego w dali tententu kopyt i kół.

— To się nazywa!... — wykrzyknął Loubet — ale łatwo to zuchów udawać, jak się jedzie karetą!...

Sztab zastał Altkirchen wolne. Prusaków jeszcze niema!... I ciągle w obawie zostania napadniętym, w obawie ujrzenia lada chwila kasków śpiczastych, generał Douay chciał dotrzeć aż do Daunemarie, gdzie czoła kolumn weszły dopiero o godzinie piątej wieczorem.

Była już godzina ósma i zmierzch zapadał, gdy nareszcie z trudem rozłożono biwaki, w zamieszaniu pułków, do połowy zredukowanych. Ludzie wyczerpani padali z głodu i znużenia. Do dziesiątej widziano włóczących się, szukających i nieznajdujących swoich kompanij żołnierzy pojedynczych, lub w małych grupach, zanim się do kupy zebrały te rozciągnięte i posiane wzdłuż drogi masy pokoszlawionych i zbuntowanych, politowania godny i niekończący się ogon armii stanowiące.

Jan, jak tylko odnalazł swój pułk, poszedł odszukać porucznika Rochas, aby złożyć raport. Znalazł go również jak i kapitana Beaudoin na konferencyi z pułkownikiem. Wszyscy trzej stali we drzwiach małej jakiejś karczemki, bardzo uważni na apel, niespokojni, pragnący się dowiedzieć, gdzie są ich ludzie. Od pierwszych wyrazów kaprala, zwróconych do porucznika, pułkownik de Vineuil, dosłyszawszy co się święci, przywołał go do siebie i zmusił, aby wszystko powiedział.

(C. d. n.).

Ale w Radzie miejskiej nie miano czasu a raczej nie chciano się zastanawiać głębiej i poważniej nad prośbą twórcy „Kazania Skargi“. Jakaś gwałtowna chęć „uporania się“ z gmachem św. Ducha tak zaślepiła radców miasta, bo nie dojrzeli jak lekkomyślnie, bo nagle i gorączkowo, traktują sprawę z człowiekiem, dla którego, zostawiszy bałwochwalstwo na boku, powinno się mieć przecież wyjątkowe względy. Potomność mając nagi fakt przed sobą, surowo osądzi to nieposzanowanie starego zabytku i dobrych chęci Matejki, bo rzecz jej się przedstawi bardzo jasno: „Był zabytek może niezbyt wielkiej „wartości, ale zabytek, który „z żalem“ po„stanowiono rozebrać ze względu na znacz„ne koszta jego restauracyi. Znalazł się czło„wiek pragnący te koszta przyjąć na siebie, „a był nim wielki malarz, chluba narodo„wej sztuki, wielki przytem znawca i miło„śnik dawnej architektury, dający pewność, „że zabytek uszanuje i z całym pietyzmem „przeprowadzi jego restauracyą. Lecz stał „się cud, sklepienie się zawaliło, — Rada „przeszła do porządku dziennego nad żąda„niem Matejki, a tylko wysłała do wielkiego „malarza trzech radców dostatecznej gru„bości, aby mu wytłómaczyli, że na wartości „zabytku się nie zna i że jak co nie mo„żna, to nie można. Rezultatem wmięszania „się wielkiego artysty było to tylko, że nie „nie obywatel Kopel Grünwald, ale inny oby„watel na *ski* się kończący, dokonał zró„wnania z ziemią starego budynku.“ Tak wypadek ten zapiszą późniejsi kronikarze i tak nie zrozumieją potrzeby odsłonięcia bocznej części teatru, jak my dziś nie rozumiemy zwalenia starego ratusza dla odsłonięcia rynku i Sukiennic.

Ale ja wiem, kochana Opinio, dlaczego nie jesteśmy ze sobą w zgodzie, dlaczego ty wielbicielka *en gros* Matejki, częstujesz go kułakiem, a ja wielbiciel *en detail* zasłaniam go tarczą fejletonu. Powodem tego jest drugi list „mistrza“, w którym zrezygnował z honorowego obywatelstwa, zagroził niewystawianiem swych obrazów i nawymyślał niektórym ludziom od liberałów, nikczemników itp.

Bronić tego listu naturalnie nie będę, ale co do jego powstania mam pewne podejrzenie. Rada miejska zrobiła źle, poczuła swą odpowiedzialność przed opinią kraju po za Krakowem i przed przyszłością. Trzeba więc było wynaleźć środek, któryby Matejkę skompromitował, a przynajmniej nieco ośmieszył, salwując tem samem honor rajców stołecznego królewskiego miasta Krakowa. Otóż podejrzywam, że niektórzy z radców. a może sam p. prezydent z p. wiceprezydentem, weszli w poufne pertraktacye z p. Marjanem Gorzkowskim i podsunęli mu treść owego głośnego listu. I stało się, że Matejko przez miłość dla p. Marjana list podpisał, — Rada miejska ocaloną została.

Przypuszczenie drugie, może prawdopodobniejsze, że Matejko sam przez dobroć serca postanowił ratować Radę. I dokonał tego „mistrz“ świetnie i prawdziwie „po mistrzowsku“.

A teraz, kochana pani opinio, bywaj zdrowa, nie gniewaj się na mnie, boć w „Wolnych Myślach“ wolno mieć własne zdanie, a kiedy kochaliśmy się oddawna jako małżonkowie, toć pewnie nie pójdziemy do rozwodu, boć niema miłości bez sprzeczki, jak niema na świecie Rady miejskiej bez niemądrych uchwał i wielkich artystów bez nerwowego usposobienia. K. Bartoszewicz.

Międzynarodowa Wystawa w Wiedniu.

LIST I.

(Z dziejów muzyki)

Pisać o wystawie w sposób wyczerpujący znaczyłoby podejmować się pracy ułożenia encyklopedyi sztuki muzycznej i dramatycznej. Przechodzi to siły jednego człowieka. Mimo systematycznego uporządkowania materyału wystawy, nie wiem od czego zacząć; czy kreślić te w parku przed rotundą, jakby laską czarodzieja w ciągu krótszego czasu, niż najśmielsza fantazya budowniczego zamarzyła, wydobyte budowle: teatru letniego, sali Gibiehungów, w której się mieszczą pamiątki po Wagnerze, sali muzykalnej, panoramy morskiej, starego Wiednia w odbiciu wiernem z 17 wieku, czy przejść przez wystawę samą i zastanowić się nad jakąś cząstką olbrzymiej masy wystawionych przedmiotów.

Nad którą? Czy nad etnograficznym odziałem, nad historyą muzyki w drukach, manuskryptach, portretach, obrazach, autografach, pamiątkach kompozytorów, artystów, śpiewaków i śpiewaczek, występującą żywo przed naszemi oczyma, jakby raz jeszcze w ciasnej ramie chwil kilku, w szczupłej przestrzeni paru sal rozgrywało się kilkanaście wieków pełnych bolu, tęsknot, nadziei, rozczarowań, zwycięstw i upadków i nowych i wciąż nowych dążeń — w nieskończoność, kilkanaście wieków od Grzegorza świętego, od podniosłego hymnu Ambrosiańskiego, aż do szalonych cancanów cesarstwa drugiego we Francyi i romantycznych zawrotów w przeszłość Wagnera? Czy może przejść do odziałów narodowych: angielskiego, bułgarskiego, polskiego, rosyjskiego lub włoskiego, czy do historyi teatrów wiedeńskich i zapisywać tu chętnie każdą rzadkość bibliograficzną, wysnuwać najciekawsze wnioski ze zmiennej kolei sztuki dramatycznej, jak słabe są, jak mało ugruntowane nasze upodobania, ile w nich naleciałości, tradycyi, ile przesady i obłudy, ile wygodnego wstrętu przed myśleniem samodzielnem. Jak gorzką była ironia, z którą Alojzy Żółkowski pisze w jednym z afiszów teatralnych (wystawionych w odziale polskim). że „daną będzie 18 stycznia 1822 komedya nowa „Szal“ a po niej nastąpi tak dobrze jak nowa, bo Moliera p. t. Jerzy Donder (sic!) czyli „Mąż zawstydzony.“

Żółkowski to pewnie czuł, że mało jest komedyj nowych na świecie i że najczęściej stare są nowemi, a nowe staremi!

Cokolwiek się o wystawie pisze, zawsze będzie to tylko fragment podmiotowego i bardzo podmiotowego sądu o rzeczy. Postaram się w tym i w następnych listach podzielić się z czytelnikami „Myśli“ wrażeniem, jakie się odbiera w najważniejszych działach wystawy. Będzie to tylko słabe odbicie w takie niezmierne bogactwo szczegółów obfitującego obrazu. A bardzo wiele godnych uwagi przedmiotów przeoczę; o innych z umysłu nie wspomnę, bo coś innego jest rzecz oglądać a coś innego ją kreślić.

. . . .

Wchodząc od południa do rotundy znajdujemy się w oddziale etnograficznym. Oddział niezbyt wielki zawiera zbiory instrumentów różnych ludów dzikich, półdzikich i o kulturze odrębnej od naszej. Z instrumentów ludowych narodów europejskich wpadają w oczy zaraz na lewo od wejścia w szafach za szkłem wystawione okazy z Hiszpanii, Niemiec, Kroacyi i Galicyi.

Kastaniety, gitary, trąby z gliny, „terbice“ i „dwojnice“ (piszczałki czworograniaste, podwójne) wszystko wyrobu bardzo prymitywnego, wszystko dzieła talentu, szukającego narzędzi dla nadania wyrazu swoim uczuciom.

Dziwnego doznałem wzruszenia zobaczywszy piszczałki nasze chłopskie z Jaworowa w Galicyi i skrzypce z Kolbuszowy, które sporządził sobie jakiś artysta-wieśniak z jedliny surowej i ozdobił arabeskami zielonemi, w jakie maluje nasz lud swoje skrzynie i kufry. A smyczek tego instrumentu, zrodzonego w biedzie gieniuszu, jest to prosty łuk wygięty z jakiegoś pręta drewnianego, na który wpiął artysta czarne włosie końskie. Zapewne to nie jest industrya, wysługująca się komukolwiek, ale tylko produkt głębokiej wewnętrznej potrzeby muzykalnej.

Z narodów dzikich i półdzikich, zastąpionych w tym dziale, zwracają uwagę na siebie murzyni afrykańscy swojemi dzwonkami z drzewa i klekotkami, arabowie puszczy sudańskiej i wschodnio-północnej Afryki swojemi instrumentami z trzciny bambusowej, składanej w równoległych sztabkach, z których ton wydobywa się młotkiem, dalej Jawańczycy i mieszkańcy wysp australskich.

Murzyni w Otwawie zdobyli się już na kapelę królewską z piszczałkami, bębenkami, jak to widać z fotografii, przedstawiającej tych artystów przy ich robocie. Jawańczycy posiadają nawet własny system nut a tem samem już i kompozycye spisane. Do pokaźnego stanowiska doszła muzyka u Indów, Chińczyków i Japończyków. Mają te narody nietylko własne systemy nut, orkiestry, koncerty i wielką literaturę teoretyczną o muzyce, której wykazy zawierają książki wystawione, ale odznaczają się wielką odrębnością swoich narzędzi muzykalnych, które u Indów zwłaszcza z taką wyrabiane są starannością, takie okazują przezwyciężenie trudności technicznych budowy, że już z tych szczegółów wnioskować się godzi o ich wielkiej starożytności. Próbki nut (hymnów i pieśni) chińskich i japońskich, o ile udało mi się je odczytywać w transkrypcyi na nasz system, są bardzo jednostajne, często nie obejmują oktawy całej i powtarzają się do znużenia. Główną charakterystyką muzyki chińskiej i japońskiej jest: krzyk, hałas.

Im niżej naród stoi, tem więcej zadawala się krzykiem w miejsce harmonii. Rytmiczny hałas, tupanie nogą w takt do tańca. klaskanie w dłonie jest wystarczającą pierwotnym ludom muzyką. Ich instrumenta stanowią dlatego po większej części klekotki, dzwony drewniane, a na wyższych dopiero stopniach rozwoju: piszczałki.

Toż i u chińczyków i Japończyków, obok lir pod różnemi nazwami i formami używanych, głównie zaś w kształcie długich słupów czworograniastych z drzewa, na których rozpięte są 10—13 strun na rozmaitych podstawkach, regulujących w miarę oddalenia od końca struny wysokość tonu, obok tych „Yanking'ów“. „Kinów“, „Latszynów“ i obok piszczałek w niezliczonych formach, główne miejsce zajmują tamtamy, bębny, tarabany, kotły z bronzu.

Ludy te mają i teatr rozwinięty. Na obrazach widać, z jakiem zajęciem Japończycy w świetnych swoich salach przysłuchują się produkcyom a okazy toalet tancerek, bajadera jedna z wosku i w kostiumie oryginalnym dowodzą przepychu, z jakim i tam na dalekim wschodzie komedyanci wszelkiego

rodzaju ubierają się dla sceny. Wszystkim tym ludom wspólne są maski. Posiada je nawet Australczyk. Żądza udawania jest więc nieodłącznym udziałem ludzkiej natury. Maski przedstawiają typy zwierzęce, krokodyle, lwy, koty, psy albo też ludzkie w karykaturach. U dzikich narodów maska jest zapewne wszystkiem. Nie mają oni poetów, piszących dramaty, monologi i sceny; aktor przywdziewający maskę improwizuje swoją rolę. U Japończyków karykatury są świetne, dowodzą one ogromnego daru obserwacyjnego, gdyż rysy twarzy wykrzywione w pewnym, oznaczonym z góry, charakterze konsekwentnie wyrażają myśl twórcy maski.

Śmieją się te twarze i płaczą, zgrzytają i rozpaczają, choć zawsze w wyrazie swoim tracą miarę i stają się prawzorami brzydoty ludzkiej.

Materyał masek jest po większej części z drzewa.

Cały oddział etnograficzny daje wyobrażenie o elementarnej naturze muzyki, jako sztuki wspólnej w najniższym swym stopniu wszystkim narodom, wyprzedzającej powieść nawet gminną i pierwsze zarodki poezyi. I uczy nas najpobieżniejsze już oglądanie szeregu wystawionych instrumentów, że pojęcie sztuki jest bardzo względne, że piękno jest tak samo związane i ograniczone warunkami przyrody, jak pokarm człowieka. Indowie, których filozofia tak wielkie objęła horyzonty, których głębokim mistycyzmem rozkoszowali się i rozkoszują nasi znużeni i zrozpaczeni powolną jednostajnością postępu myśliciele Europejscy, — Indowie przecież nie zdobyli się, wedle naszych pojęć, na wyższy wyraz w muzyce, któryby zapłodzić mógł nowym jakimś żywiołem naszą wyjałowioną sztukę. W Azyi muzyki dla nas niema. Muzyka jest sztuką chrześciańską, wzrosła ona z pragnień nieokreślonych, z tej fantazyi, tęskniącej za bóstwem, której słów nie starczyło dla wyrazu uczucia; jej krańcami są antiphonarium Grzegorza św. i missa solennis Beethovena. Przejdźmy do oddziału historyi muzyki. Dr. H. M.

TEATR.

IV.

Bawidełko, sztuka w 4 aktach a 5 odsłonach Edwarda Lubowskiego, przedstawiona po raz pierwszy na scenie krakowskiej 28 maja b. r. — Występy gościnne Heleny Marczello.

Faktem jest niezaprzeczonym, że współczesne prądy literackie zachodu i północy zaczynają powoli przyjmować się na naszym, swojskim gruncie. Potężny wpływ Zoli, Goncourtów, Flauberta i Bourgeta przenika dość wyraźnie do polskiej beletrystyki, a najświeższe objawy dramaturgii skandynawskiej (Ibsen, Strindberg) i zwrot ku realizmowi na scenie w Niemczech (Bahr, Holz, Suderman, Hauptman), skierowały twórczość naszych pisarzy dramatycznych na nowe, odłogiem dotąd leżące pole.

Dramat — owa najwyższa poezya — wszedł w nową fazę rozwoju. Dawniejsi np. ckliwie sentymentalni autorowie niemieccy ustąpili miejsca młodym, którzy zasobni w głębszą erudycyę, świadomi bankructwa haseł heglowskich, jęli opierać swe spostrzeżenia na zasadach odmiennych, uznali potrzebę badania duszy ludzkiej nie z pozorów i błahych przejawów, lecz równorzędnie z rozwojem wpływów zewnętrznych, fizycznych, — słowem, odrzucając idealny dogmat wolnej woli, zgodzili się uważać człowieka za wytwór otoczenia, ukształtowanego na pewnych podstawach społecznych.

P. Edward Lubowski słusznie ceniony autor „Nietoperzy“ i „Jacusia“, spróbował iść śladem „Młodych Niemców“ i napisał sztukę realistyczną, która w poruszonej tylko tezie dziedziczności pewnych chorób i skłonności przypomina mi G. Hauptmana: „Vor Sonnenaufgang“ (Przed wschodem słońca), Ibsena „Widma“ („Gespenster“) i A. Daudeta „Przeszkodę“ („L'obstacle“).

Treść „Bawidełka“ da się krótko opowiedzieć. P. Stalicka, bogata właścicielka dóbr, bezdzietna wdowa, przyjmuje na wychowanie córkę stangreta: Hannę.

Dziewczyna wzrasta wśród otoczenia szlacheckiego, kształci się i w takich warunkach dojrzewa na piękną pannę, nieświadomą bliżej swego pochodzenia. Przypadek odsłania je Hannie, kiedy ojciec jej zakrada się do bufetu p. Stalickiej i upija się spirytusem. W sercu Hanny budzi się odraza do gniazda z jakiego wyszła i tem silniejsza żądza zatarcia jego śladów w świecie, do którego się wzniosła. Czuje ona pustkę w domu swej przybranej matki, spragnioną jest zabaw, podbojów, tryumfów. Niedoświadczona, wpada w sidła nikczemnego donżuana hr. Stefana, siostrzeńca p. Stalickiej, która zmusza go zaślubić Hannę i tej zapisuje cały majątek. Stefan okazuje się skończonym łotrem, bo wyłudza pieniądze od żony i naraz porzuca ją dla jakiejś lafiryndy — baronowej. Hanna wraca do matki, czyni tej wyrzuty, że ją wychowała dla swych egoistycznych celów i zrobiła „bawidełkiem“, potem rusza w świat i zapija się na śmierć w gabinecie restauracyjnym w otoczeniu lichych indywiduów.

Tyle treści. Ekspozycya sztuki jest mimo rozwlekłości stanowczo dobrą. Autor uplastycznił tutaj postać p. Stalickiej, kobiety, spragnionej uciech macierzyńskich, która kocha Hannę po swojemu, tj. pragnie jej szczęścia i dobra, ale w tej miłości tkwi wyraźny pierwiastek egotyzmu, jest chęć zatrzymania Hanny jak najdłużej przy sobie, dla zapełnienia braku własnego dziecka i tej pustki, jaka ją dokoła otacza. Inaczej przedstawia się Hanna. Postać bohaterki chciał widocznie pan Lubowski wyposażyć grubemi rysami psychologicznemi, któreby widzowi ułatwiły poznanie jej charakteru, sfery myśli i uczuć, tymczasem już w pierwszych dwóch odsłonach aktu pierwszego wydaje się nam Hanna uosobieniem sprzeczności psychicznych, ba więcej, robi wrażenie takie, że albo świadomie kłamie, albo też posiada już sporo przebiegłości i hypokryzyi. Nie wiem czem objaśnić np. to, że raz powiada, iż jej ciasno w domu matki (p. Stalickiej), iż pragnie odetchnąć pełniejszą piersią na arenie salonów, po chwili zaś zapewnia matkę ze łzami w oczach, że tylko przy niej pozostać zamyśla. Po ślubie widzimy Hannę zupełnie inną; kobieta, zawiedziona w swych uczuciach, złamana na duchu, szuka balsamu na cierpienia w wirze zabaw, używa spirytualiów i pała żądzą pomszczenia krzywdy, jaką wyrządzili jej mąż i tegoż kochanka. Gdy ucieczka hr. Stefana krzyżuje jej plany, — Hanna wraca do matki. Czemu wraca? Czy pragnie jej pociechy, współczucia, opieki?

— Nie. Chce pieniędzy, a gdy tych nie dostaje, — rzuca biednej kobiecie w twarz słowa obelżywe, wymawia jej swój upadek, spowodowany złem wychowaniem, nie zaszczepianiem zasad. jakiemi się kobieta kierować winna, brakiem ukochania czegokolwiek i wiary w cokolwiek.. „Byłam dla ciebie bawidełkiem — powiada Hanna, — lalką do upiększania salonu, pomocnicą, a teraz radzisz mi zostać tutaj, przy tobie, w biedzie“ itd. W hrabinie odzywa się ukryty pod elegancką powłoką głos natury samorodnej, twardej, nie poddanej wpływowi żadnej paliatywy moralnej, nie uszlachetnionej etycznie. Lubowski chciał tutaj pewnie dowodnie wykazać, jak łatwo kobietę bez gruntownego wychowania, bez wszczepionych zasad, ślizgającą się po parkietach salonowych, sprowadzić z drogi obowiązku, a rzucić na dno przepaści, jak prędko w takich kobietach następuje zanik władz moralnych. To zdaniem mojem właściwa tendencya utworu, bo teza o atawizmie pijaństwa jest tylko jakby przyczepioną, dodatkową, a nie stanowi jądra dramatu społecznego. Akt III (scena z matką) jest najsłabszym i robi na widzu bardzo przykre wrażenie, zwłaszcza, gdy kto sobie nie uprzytomni, wśród jakich warunków wychowywała się Hanna i że te właśnie mogły w niej taką reakcyę moralną wywołać.

Zresztą sztuka p. Lubowskiego zasługuje na duże uznanie, zarówno pod względem doniosłej treści społecznej (mgliście co prawda zarysowanej) jak i znakomitych zalet technicznych, których się zresztą po autorze „Osaczonego“ spodziewać można było. Za główną zasługę p. L. poczytywać bym śmiał samorzutny krok do zerwania z szablonem naszej dramaturgii i pchnięcia jej na nowe, ładną przyszłość rokujące pole.

Rola Hanny w grze p. Heleny Marczello wypadła świetnie. Artystka, dzięki swej inteligencyi i intuicyi, potrafiła stworzyć taką postać, o jakiej autor marzył; jest to największa zasługa artystki, jeśli potrafi, tak jak p. Marcello, zrozumieć intencye pisarza i nadać interpretowanej roli odpowiedni koloryt. Wszystkie subtelne odcienia bólu, sarkazmu, gniewu, rezygnacyi i zwątpienia, w jakie „Bawidełko“ obfituje, umiała p. M. doskonale wyzyskać.

P. Stalicką grała w właściwym tonie p. Wolska. Z reszty artystów, występujących w „Bawidełku“, zasłużyli na rzetelny poklask: p. Sobiesław (hr. Stefan), p. Siennicka (bar. Melinet) i p. Rygier (Sośniak); p. Ruszkowski wyposażył drobną rolkę niby hr. di Bergama dużym zasobem komiki.

Występy p. Marczello na scenie krakowskiej były jednym szeregiem owacyj i gorącego uznania dla warszawskiej artystki, której wybitny talent charakteryzuje niezwykły temperament, powstrzymywany, gdzie wypada, przez pełną polotu intuicyę.

Dość było zestawić kilka ról z repertuaru p. M. jak Sudermanowską Adę (Koniec Sodomy) z Wilbrandtowską Messaliną, aby nabrać przekonania, że mamy przed sobą artystkę nie tylko bardzo utalentowaną, ale i bardzo inteligentną.

W chwili, gdy słowa moje dojdą do rąk czytelników, rozbrzmiewać już będą w starym budynku teatralnym dźwięki operetki lwowskiej, na znak, że kampania sezonowa krakowskiego teatru skończyła się.

Nie zaznaczyła się ona wybitniejszemi dla sceny naszej momentami, dla tego też można śmiało przejść nad nią do porządku dziennego, w nadziei, że najbliższa będzie pomyślniejszą. Józef Bornsztein.

„W DZIESIĄTYM PAWILONIE."

(SZKIC.)

(Dokończenie).

Psycholog odsuwa w tył krzesełko, wstaje leniwie i zmierza ku drzwiom. Tam zatrzymuje się i odwraca, aby spojrzeć na skurczoną postać Wacia, stojącego pod oknem.

— Idyota — ech — idyota, mówi wychodząc. Gdy drzwi zamknęły się za nim, Wacio chodzi po izbie na palcach i mówi do siebie półszeptem:

— Połknąłeś moje słowa, jak wilk zamrożoną w sadle stalową sprężynę, będzie się rozkręcała w tobie, będzie cię nękała, aż poczniesz płakać i kajać się...

Myśląc o tej kwestyi, defiluje i defiluje po izbie aż do zmęczenia nóg... Zaczyna mu się dawać we znaki, dzięki rozmowie z psychologiem, znużenie wewnętrzne, upadek duszy, wzmagający się z każdą chwilą, któremu opierał się dotąd tak wytrwale. Jeszcze jedno targnięcie nie wiedzieć jaką nazwę noszącego podmuchu i rozerwie się zdolność do trwania, jak włos naprężony. Zaczyna tedy gorączkowo chwytać rozmaite pojęcia kojące i czepiać się ich myślami rozpaczliwie. Jest to jednak ta chwila, kiedy myśl odbija się od każdego zjawiska, od każdego wspomnienia, jak od rzeczy martwej, śliskiej, plugawej, kiedy przez nagłe i oślepiające jasnowidzenie spostrzegamy wszędzie nicość lub ruinę.

Usiada ze skurczonemi nogami na łóżku i dziwnie się przeistacza. Zdaje mu się, że leży sam jeden na jakiejś niezmiernej pustyni, na nagim, zrytym i spustoszonym gruncie, pozbawionym drzew, roślin i mieszkań, gdzie nie przebywa żadne istnienie, nad którym tylko w nieskończoności swej nieugięty i straszliwy przemija — czas. Tam leży dusza jego umierająca w męce bezsilnej, jak robak na grzbiet przewrócony, wije się, woła ostatnim jękiem na tę istotę ukochaną, której już nie ujrzeć...

Niegdyś na ziemi kochał dziewczynę szlachetną i piękną, pracował z nią razem, w pocie czoła, w pościgu, o kawałku chleba wyhodowując plony w tych śladach kopyt konia barbarzyńcy, gdzie trawa rosnąć przestała. Była to miłość więcej niż dobra i mądra, bo piękna, dobór szczytny dusz szlachetnych, arcydzieło przyrody niemniej wielkie, godne uwielbienia i piękne, jak przyciąganie ciał niebieskich.

Cierpienie chwili obecnej nie oszczędza i tej istoty.... I ona musiała się wmięszać w tłum, musiała powiększyć stado o jednę jednostkę. Z tej więc pustyni i nocy, gdzie panuje zimny i bezlitosny mrok śmierci — idzie do niej, jak duch, a raczej, jak samo uczucie, znajduje ją i nie głosem, nie dźwiękiem, lecz nagłem uderzeniem w jej nerwy, bolesnem zawieszeniem myśli, przeczuciem przelotnem mówi jej, że umarł....

Poznaje potem po skróconych nagle średnicach jej źrenic, po ustach, uchylających się do krzyku, jak jej dusza cierpi. Jak głód wilka rozbudza widok krwi, którą przelał, tak miłość jego, tasama cudna i nieśmiertelna rozbudza go, trzeźwi i dźwiga. Wtedy dopiero, gdy serce nasyciło się boleścią istoty najdroższej...

Boleść zjadliwa kąsa All-de-Barana, w głębi serca, gdy słucha tych słów i dowiaduje się o losie „marginesa". Odpowiada jednak z uśmiechem:

— Znałem tylko Hrabanusa Maura, który napisał dzieło: „De nihilo et tenebris" — uważa pan, a Marginesa żadnego... „De nihilo et tenebris" — zabawna historyjka.... Scholastyczne dziełko — co?...

— Nie chcecie odpowiedzieć, — a przecież, jak to raz już wspomnieliście, w młodzieńczych latach mieszkaliście w mieście gubernialnem, gdzie „Margines" właśnie...

— Mylisz się, gentelmenie... To, co kiedykolwiek mówiłem, stosowało się zawsze do przyszłości. Mówiłem, że będę kiedyś jechał konno na młodej klaczy z białą strzałką na czole, ze skórą cienką, jak papier, w cichą noc letnią, gwiaździstą, kiedy dojrzewa żyto. Posłuchaj, panie, będę czuł, co to jest ruch każdym muskułem, każdą żyłą, każdym nerwem, będę oddychał całemi płucami, w ogromnem powietrzu, będę pędził w cwał tak, żeby koń dotykał brzuchem ziemi — i obydwu nam, mnie i koniowi, będzie bujny wiatr warczał koło uszu aż nam krew w żyłach zacznie bić, jak nabój w lufie podczas wystrzału, aż się zapamiętamy w dzielnej rozkoszy niepohamowanego pędu po pięknej, ukochanej ziemi... ach, Boże!...

Słania się Wacio z kąta w kąt izby, gdy to mówi, zatacza się i łka wewnętrznem szlochaniem, wydzierającem się z głębi piersi, niby dławione wysiłkiem rzężenie. Za chwilę uspokaja się i z suchemi już oczami zatrzymuje przed swym gościem. Patrzy mu w oczy łagodnie i kiwa głową jakoś zabawnie, jak małe dziecko umęczone krzykiem, gdy zgadza się na każdą zabawkę, jaką mu podsuwają.

— Chwilowa niedyspozycya, łaskawy panie, — mówi, — małe, nieświadome pragnienie ruchu, poprostu, jeśli nie sprawi panu jakiej trudności skombinowanie tego zjawiska: odruch...

Młodzieniec odziany w cudzy tużurek milczy teraz, leżąc na krzesełku nogami, wyciągniętemi przed siebie tak bezwładnie, że nie stara się ukryć nagości brudnych gnatów, widocznej nad cholewkami kamaszków, głowa jego przechyla się na ramię.... Znać, że doznaje na widok odruchów Wacia jedynego szczątkowego uczucia: — znużenia. Leży tak z wysuniętemi wargami i zdaje się nie widzieć, że Wacio wpatruje się weń rozszerzonemi źrenicami, jakby zaglądały w ciemność, że schyla się nad nim i całuje go w usta. Po chwili dopiero podnosi głowę, odsuwa się i słucha z tym samym wyrazem wstrętu czy znużenia dziwnych słów:

— Bracie mój, nieszczęśliwy... Jeźli doznasz jeszcze kiedykolwiek, jak w tej chwili, goryczy — nie wzbraniaj łzom płynąć... One rozmiękczą grudę, pokrywającą twe serce zatwardziałe, nauczą cierpieć szlachetnie i widzieć brata w człowieku.. Zapłacz nad sobą i uczynkami twojemi. MAUR. EŻ.

TRAGEDYA LUDZKOŚCI.

(Emeryka Madacha.)

(Dokończenie).

Zbliża się najstraszniejsze może ze wszystkich przejście. Adam zastaje za swym powrotem ziemię w stadyum przedzgonnem, ostatnie resztki ciepła dogasają w jej łonie. Obaj wędrowcy zstępują w okolicy równika, pokrytej śniegami i lodem. W górze płonie słońce, czerwona, bezpromienna kula. Zaledwie kilka karłowatych drzew szpilkowych stanowi całe urozmaicenie monotonnego krajobrazu. Adam, który kolejno w ciągu scen strasznych z młodzieńca dojrzewał w mężczyznę, a potem w starca, tu występuje w zupełnej już zgrzybiałości. Na powitanie pielgrzymów wychodzi z nędznej chaty eskimos, zezwierzęcony idjota. Przybyszów poczytuje on za bogów i chce zjednać ich sobie ofiarą. Adama zamierza uraczyć swą żoną. Jestto znowu Ewa — ale zezwierzęcona podobnie, jak mąż jej. Z okrzykiem: „Na pomoc, Lucyferze!" uwalnia się Adam z jej uścisków. Przerażenie bierze w nim górę nad illuzyą snu:

Precz, precz stąd! Z wyżyn odległej przyszłości
Sprowadź mnie znowu w teraźniejszość, abym
Na mój straszliwy los patrzeć nie musiał:
Na bezowocną walkę. Daj rozważyć,
Czyli posłuszny mam być radzie Bożej?

LUCYFER.

Zbudź się! Sen minął!....

W końcowej scenie poeta stara się znowu skrystalizować myśl przewodnią swego dzieła. Adam rozwarłszy oczy spostrzega, że jest w dawnej swej chacie pośród pól rozkosznie uśmiechających się zielenią i kwiatami. Ale widok uroczy nie rozwesela go, jak dawniej; serce jego złamane tem, co widział we śnie. Lucyfer szydzi z niego i radzi, aby zdał się na łaskę przeznaczenia, które ma w nim swe narzędzie. „Kłamiesz, woła oburzony Adam, wolna wola jest przywilejem człowieka:

Wszak zasłużyłem na nią, wszakże w zamian
Zrzekłem się całej szczęśliwości raju..
Śniłem, lecz sen mi podał też naukę.
Błądziłem nieraz, lecz przynajmniej mogę
Sam wedle własnej woli obrać drogę.

Wysoce znamienną jest odpowiedź Lucyfera:

Jako uczony znasz między innemi
Owe zapewne także pasorzyty,
Które żyć mogą w łonie kotów tylko,
A jednak pierwszą swą fazę rozwoju
Przebywać zdolne są jedynie w myszy?
A wszak niejedna mysz ujdzie szczęśliwie
Pazurów kocich; są zresztą i takie,
Co przebiegłością swoją się ratują
I dni sędziwych doczekają w gniazdku.
Jednakże czuwa nieubłagane prawo,
By koty tyle myszy pożerały,
Ile potrzeba, iżby tym żyjątkom
Drobnym zapewnić tysiące lat bytu.
Człowiek też nie jest indywidualnie
Związany, ale rodzaj jako całość
Dźwiga kajdany.....
Kto liczby umie zestawiać, w zdumienie
Wpadnie, gdy ujrzy jak jest konsekwentnym
Los, ów kapryśnik.... Równocześnie idą:
Śmierć i małżeństwo, cnota i występek,
Wiara, szaleństwo....

Adam odtrąca od siebie myśl o predestynacyi. Aby kłam zadać Bogu i plany jego zniweczyć, postanawia zginąć samobójczo. W chwili jednak, gdy staje nad skałą, aby się w przepaść rzucić, odwodzi go od niej Ewa. Natura odnosi zwycięstwo nad rozumowaniem. Ewa czuje się matką, a to wystarcza, aby wrócić Adama życiu.

Adam pada na kolana, błagając:

Błogosław, albo zdruzgotaj mnie Boże,
Ja tu przed tobą w prochu głowę korzę.

Nadaremnie Lucyfer stłumić chce ten jego nowy poryw w samym zaczątku. Adam modli się dalej:

Panie! straszliwe ja widzenia miałem....
Co jest w nich prawdą, a co fałszem nędznym?
O, powiedz, powiedz, jaki los mnie czeka?

Bóg odpowiada mu: nie odchyla rąbka zasłony z zagadnień bytu, oświadcza tylko, że muszą one pozostać wieczną zagadką.

„Walcz i ufaj!“ — oto owoc „myśli bez granic“ — realna konsekwencya przeświadczenia, że „wszystko ma jeden początek“.

Tym sposobem wracamy znowu do punktu, z którego wyszła cała „Tragedya“.

Jest ona dziełem umysłu zamiłowanego w swobodzie, ale nie przeceniającego jej rezultatów. Do czegóż przywodzi Adama tylu ofiarami zdobyta swoboda woli? Czy jest ona dobrą dla swych tworów matką, czyli też nie przypomina raczej żarłocznego Kronosa, który własną zjadał dziatwę?

Mimo pogodnego pozornie zakończenia wieje z „Tragedyi“ gorzki pesymizm. Wszystkie najszlachetniejsze wysiłki same sobie grób kopią; umysł ludzki napróżno nawet stara sobie urobić pojęcia dobra i piękna, bo ideały jego przeniesione na grunt rzeczywistości rozsypują się w czerepy — bo z pod larwy dobra i piękna prędzej czy później wyjrzeć musi szpetne oblicze jakiejś meduzy. To też ze stanowiska „Tragedyi“, praca ludzkości podobna jest do igraszek dzieci, które w tem znajdują najlepszą zabawę, by co zbudowane zburzyć, a na ruinie nowe wznosić budowy. Jest to znowu owa smutna ewangielia zwątpienia, która w kolebce „Tragedyi ludzkości“ pierwsze dopiero kroki stawiać poczęła.

Madach jednak nie potrafił wytrwać pod jej sztandarem w swem dziele do końca. Przeprowadziwszy w czternastu obrazach z nieubłaganą konsekwencyą tę posępną tezę, napiętnowawszy człowieka jako twór z gruntu niezdolny do ujęcia szczęścia i spokoju w swe ramiona, napiętnowawszy dalej rozum, jako ową szczyptę rozczynu, która gdziekolwiek padnie, musi wywołać fermentacyę — na ostatku sam zadrżał przed swym pesymizmem i sięgnął nagle po morał, podobnie jak uczeń sięga po gąbkę, by zetrzeć nią z tablicy błędnie przeprowadzony dowód.

Pamiętajmy jednak, że są błędy, których dopuścić się mogą tylko wielkie umysły. Do nich należy i błąd „Tragedyi“ Madacha, błąd myśliciela, który lęka się wiarę innych zatruć własnym sceptycyzmem.

Jeżeli też poczyniłbym mu zarzuty, to nie z tego powodu. Mnie dziwi raczej, że on, który w poglądach swych, ogółem je biorąc, wyprzedził swe czasy, w jednym przecież punkcie pozostał nieodrodnym synem romantyzmu. Jego mianowicie pojęcia o misyi kobiety — postępowością nie grzeszą. Brzmi to wprawdzie bardzo pięknie, gdy się nazywa kobietę kapłanką poezyi — pochlebia tem, gdy się upatruje w niej rodzaj telefonu między niebem a ziemią. W interesie jednak samychże kobiet pragnąćby należało, aby im przyznano stanowisko mniej wyjątkowe, aby ich nie wyłączano z walki i rozumowań ludzkości, bo abstrakcyjne kapłaństwo nie jest ani w części tak szczytne, jak zadania czysto ludzkie, do których spełnienia powołuje kobietę społeczeństwo dzisiejsze, stawiając ją na równi z mężczyzną, wzywając ją, aby stosownie do potrzeby, pracowała dla siebie i dla ogółu umysłem, sercem, a choćby nawet i rękami.

Nakoniec wypada mi jeszcze dorzucić kilka uwag co do estetycznej wartości dzieła Madacha. Świat myśli jest w niej tak bogaty, tak oryginalny, że usterki formy przechodzą prawie niespostrzeżenie.

Dziwną jednak sprzeczność spotykamy w traktowaniu przedmiotu. Czytając tu i owdzie raczej dysertacye naukowe, niż poetyczne wynurzenia, ustępy naszpikowane technicznemi wyrażeniami, dobremi może w rozprawie filozoficznej, ale odstraszającemi w poezyi — gotowiśmy w pierwszej chwili przypuszczać, że Madach rozminął się z swem powołaniem, że powinien był pójść do szkoły Kanta, a nie Goetego. Przypuszczenie to jednak rozwiewa się, skoro bliżej rozpatrzymy sprawę. Poezya nie polega na gładkim rytmie, doborowych rymach, na frazesach pięknie brzmiących; prawdziwego poetę cechuje przedewszystkiem jasna wizya, fantazya żywa, która dozwala mu obrany przedmiot plastycznie widzieć i przedstawić. Z tego wychodząc zapatrywania, godzi się przyznać Madach'owi także w rzędzie poetów bardzo wybitne stanowisko.

Odczuwamy też szczerze i tylko przyklasnąć możemy słowom Maurycego Jokaja, który przedmowę do jednego z niemieckich przekładów „Tragedyi ludzkości“ rozpoczyna słowami: „My, Węgrzy, dumni jesteśmy z naszego Madacha“.

St. Rossowski.

OD REDAKCYI.

Arkusze dodatku powieściowego („Śniegu“) dołączymy — z powodów od nas niezależnych — przy najbliższym numerze „Myśli“.

MISCELANEA.

*** Antoni Lange, znany literat, złożył w dyrekcyi teatrów warszawskich pięcioaktowy dramat z życia współczesnego, p. t. „Cezaryna“. Tenże autor napisał drugą sztukę p. t. „Niepotrzebni ludzie“.

*** P. Gabriel Kempner przełożył czteroaktową sztukę Ernesta Wildenbrucha p. t. „Skowronek“.

*** Nowa polska kompozytorka pojawiła się, jak donosi *Figaro*, w Paryżu. Jestto panna Florencya Menkmayerówna, która zamierza wystąpić w stolicy Francyi z kilku koncertami. Panna Menkmayer skomponowała już podobno operę w 5 aktach pt. „Wiktoryna“, którą złożyła dyrekcyi nadwornej opery wiedeńskiej do wystawienia.

*** Poecie czeskiemu Jarosławowi Vrchlickiemu (Bogumiłowi Fridzie) wręczono w tych dniach dyplom honorowego doktorstwa uniwersytetu czeskiego. Przy tej sposobności podniósł dziekan wydziału filozoficznego, dr. Jarosław Goll, zasługi Vrchlickiego, zwracając szczegółową uwagę na klasyczne jego przekłady arcydzieł literatury obcej. (*Boska komedya, Faust* i. t. d.) Vrchlicki jest drugim doktorem *honoris causa* uniwersytetu czeskiego.

*** Uroczystość Moniuszkowska odbyła się w Krakowie 3 b. m. jako w wilję 20-ej rocznicy śmierci twórcy „Halki“. Wykonanie „Widm“ (Dziadów) wypadło zarówno w części deklamacyjnej jak i wokalno-instrumentalnej doskonale.

*** We Lwowie zawiązał się komitet, celem postawienia pomnika Chopinowi. Myśl podał St. Niewiadomski. Na czele komitetu stoi dyr. Mikuli.

*** Przestały wychodzić w Galicyi trzy pisma: „Ojczyzna“ „Trybuna“ i „Gazeta Rzeszowska“.

*** Obraz Matejki, przedstawiający św. Kingę, patronkę kraju, nabył hr. D. Borkowski.

*** 49-ty zeszyt „Wielkiej Encyklopedyi Powszechnej illustrowanej“ rozpoczął tom VII tego cennego i znakomicie prowadzonego wydawnictwa. W zeszycie tym spotykamy między innemi artykuły: Bartne prawo, życiorysy obcych malarzy i rzeźbiarzy, pióra W. Gersona, obszerny artykuł o barwach Stan. Kramsztyka, o barwnikach G. Znatowicza, Basedow, Basedowa choroba, Basen, Baskijski język przez A. A. Kryńskiego, Juljan Bartoszewicz przez Z. Glogera, Kazimierz Bartoszewicz przez Piotra Chmielowskiego, Marja Bartusówna tegoż pióra itd. Zeszyt zdobią liczne drzeworyty i portrety: Bartollomea, Juljana, Adama i Kazimierza Bartoszewiczów, słynnego romansisty Bartscha i Bartusówny.

*** Interesujące i nader cenne wydawnictwo przygotowuje obecnie Angelo hr. de Gubernatis, prof. sanskrytu w Uniwersytecie rzymskim, celem uczczenia czterechsetnej rocznicy odkrycia Ameryki przez Krzysztofa Kolumba. Będzie to międzynarodowe album autograficzne najznakomitszych mężów stanu, uczonych, literatów, artystów i ludzi zasłużonych. Niezwykły ten zbiór w oryginale będzie złożony w miejskiem medyolańskiem muzeum, a reprodukcye w facsimilach będą rozrzucone po całym świecie. Do współudziału, do zapisania się w tej „księdze świata“, byli zaproszeni i nasi uczeni i literaci. Zbieranie tych autografów komitet rzymski polecił we Lwowie: pannie Józefie Cybulskiej, znanej poetce, w Krakowie: St. hr. Tarnowskiemu, w Poznaniu: Augustowi Cieszkowskiemu, w Warszawie Wł. K. Zielińskiemu.

Mając sposobność przeglądać niektóre zapełnione już kartony, znaleźliśmy na nich szesnaście zdań i aforyzmów.

Z pięknemi nader aforyzmami wystąpili: T. ks. Lubomirski, E. Orzeszkowa, T. Korzon, Andrzej Świętochowski, Władysław Gosiewski, Kazimierz Kaszewski, ks. Zygmunt Chełmicki, Piotr Chmielowski, Antoni Pietkiewicz (Adam Pług).

*** W dodatku kwartalnym do „Przeglądu tygodniowego“ znajdujemy ciekawy artykuł: „O rzeźbie i rzeźbiarzach w Krakowie“. (Gujski, Błotnicki, Chodziński i. t. d.), pióra naszego stałego współpracownika p. Zenona Parviego.

*** Najnowszy utwór H. Sienkiewicza pt. „U źródła“ znajdujemy w ostatnim zeszycie „Biblioteki Warszawskiej“. W temże piśmie drukuje dr. H. Biegeleisen doskonałą pracę o „Fredrze“.

*** Maeterlinck, autor „Ślepych“ i „Intruza“ napisał nowy dramat pt. „Peleas i Melizanda“.

Nekrologia.

† Adolf Przerwa Tetmajer, b. żołnierz wojsk polskich z roku 31, były poseł na sejm i marszałek powiatu nowotarskiego, mąż pełen zasług na polu narodowem i społecznem, powszechnie ceniony dla swych zalet umysłu i serca, umarł w Krakowie 20 z m.. Ś. p. Tetmajer był ojcem Kazimierza, utalentowanego poety i Włodzimierza, znanego artysty malarza, braci Tetmajerów.

† August Wrześniowski b. Prof. Szkoły Głównej i Uniwersytetu warszawskiego, znany przyrodnik, zmarł w Warszawie.

† Czesław Stromfeld, b. artysta teatrów warszawskich, zmarł w Medyolanie.

Z drukarni Związkowej w Krakowie, pod zarządem A. Szyjewskiego. Redaktor odpowiedzialny i Wydawca: Józef Tarczeński.

wiedniego specyalisty, przyczem jest zupełnie wolny w wyborze pewnych nawet znakomitości. Profesor dany, o ile nie jest zajęty innem kołem, wyjeżdża i miewa wykłady swoje, które stosownie do wynagrodzenia, mogą się składać z sześciu do dwunastu lekcyj; przywozi ze sobą książki odpowiednie, jeśli w danem miejscu znajduje się zakład naukowy, ma prawo korzystać w tym celu ze środków potrzebnych i ułatwień. Po upływie pewnego czasu, uniwersytet wysyła innego specyalistę w tym samym przedmiocie (już bez wynagrodzenia dodatkowego), który egzaminuje słuchaczów i czyta ich małe rozprawki, napisane na wyznaczone tematy (wybór dowolny naturalnie) i za najlepszą pracę komitet uniwersytecki, zkąd został wysłany profesor wędrujący, udziela nagrodę. Kilka cyfr wystarczy dla zrozumienia rozmiarów, jakie ruch przyjął. Rok naukowy 1890—91 dostarczył 45,028 słuchaczów, kursów było 464, profesorów podróżujących 80, a koszta wynosiły 21,000 funtów sterl., t. j. na każdego słuchacza mniej więcej 5 złr. za cały kurs. Cyfry te jasno wskazują, że istniejące przy uniwersytetach ciała profesorskie nie byłyby wstanie z łona swego dostarczyć dostatecznej ilości wykładających, wobec własnych stałych potrzeb uniwersytetów i zwłaszcza wobec tak potężnie wzrastającego ruchu. Zrodziła się więc konieczność powołania do życia nowego sztabu profesorów, których wyłącznem zadaniem byłoby zadośćczynienie żądaniom kółek samokształcenia, wyrastającym od niejakiego czasu, jak grzyby po deszczu.

J. H.

Treść Numeru:

WIELKI WYBÓR BIŻUTERYJ

z prawdziwych kamieni szlachetnych

moldawitów, granatów, topazów, malachitów, ametystów i t. d.

w Agencyi czeskiej F. HOFMANNA

w Krakowie, ulica Grodzka, naprzeciw Magistratu.

Wykonanie gustowne. Ceny niskie.

Objąłem Zakład Dentystyczny

po ś. p. Docencie K. Goeblu

w Krakowie, przy Placu WW. Świętych Nr. 10, 1. piętro.

Oddział techniczny zostaje pod kierunkiem p. **LEMPARTA**, długoletniego zastępcy ś. p. Docenta K. Goebla w czasie jego słabości. Operacye wykonywa na żądanie przy znieczuleniu.

Dr. med. **Jan Starachowicz** dentysta.

Zakład tapicersko-dekoracyjny i Magazyn Mebli

w Krakowie, ulica Sławkowska, L. 1.

Polecamy nasz obficie zaopatrzony **magazyn w meble stylowe i fantazyjne** do salonów, pokoi sypialnych i jadalnych buduarów, gabinetów, bibliotek i t. p.

Pokrycia meblowe z pierwszych fabryk krajowych i zagranicznych, materye jedwabne, wełniane, plusze, aksamity, kretony i inne fantazyjne.

Portrety, firanki, story do okien, dywany, łóżka żelazne, łóżeczka dziecinne, kolebki, wkłady do łóżek, materace, kołdry, koce, pledy podróżne, poduszki, parawany, japońskie ekraniki, hafty, makaty, wazony i wszelkie inne przybory dekoracyjne.

Podejmuje się wszelkich urządzeń apartamentów od najwykwintniejszych do zupełnie skromnych umeblowań, jakoteż pokrywania i przerabiania mebli i materacy, szpanowania, dekorowania i tapetowania pokoi, zakładania firanek, dywanów, oraz wszelkich innych dekoracyi.

Przez powiększenie naszego magazynu mamy duży wybór mebli i umeblowań zupełnie wykończonych, tak, że u nas rzeczy zamówione zawsze w oznaczonym czasie dostarczone być mogą.

Przez długoletnią praktykę zagraniczną i wyrobienie stosunków z pierwszemi domami fabrycznemi, możemy zadowolnić Szanowną Publiczność tak pod względem starannego wykonania i dobroci materyału, jakoteż cen i gustu.

Ciesząc się dotąd licznemi uznaniami ze strony naszej Klienteli, polecamy się i nadal łaskawym względom Szanownej Publiczności.

Stachowski i Kiełpiński.

NOWY ZAKŁAD ARTYSTYCZNO-FOTOGRAFICZNY

K. ŻELECHOWSKIEGO

artysty malarza

(dawniej Błoniewski)

przy ul. Podwale, L. 14,

wykonuje według najnowszych ulepszeń

fotografie artystyczne.

Ceny bardzo przystępne.

Na żądanie wykonuje portrety kredkowe i olejne.



Największy wybór

Fortepianów, Pianin i Harmonij

w Składzie

J. M. KORDECKIEGO

w Krakowie, ulica św. Anny, dawniej Hotel Victoria.

Sprzedaż zamienna. — wynajem.

JAN KOLIJEWICZ



Rusznikarz

i znawca sądowy

w Krakowie

ul. Floryańska l. 55, dom WPana Kulczyńskiego

Przyjmuje zamówienia na broń różnych systemów, przerabia strzelby kapslowe na wszelkie inne systemy, uskutecznia reperacye, dorabia osady. **Posiada na składzie pałasze do szermierki. Oczyszcza rewolwery.** Wszystko spiesznie i po cenach umiarkowanych. Wysyłki załatwiam jaknajspieszniej pocztą. Ręcząc za dokładne wykonanie robót, polecam się Sz. P. T. Publiczności.

Na wystawach krajowych

najwyższemi nagrodami odznaczony

ZAKŁAD

WYROBÓW OBUWIA G. WERNERA

w Krakowie, ulica Szewska Nr. 16

poleca:

wszelkiego rodzaju **obuwie męzkie** jak i **damskie** — podług najświeższych fasonów. Zakład wyrabia również tak zw. **obuwie racyonalne**, zastosowane do wymagań hygieny. Na żądanie uskutecznia takowe podług **gipsowych odlewów** zdjętych z nogi.

W powyższym Zakładzie dostać można wszelkich przyborów do konserwowania obuwia.

IZYDOR WOHL

we Lwowie, ulica Sykstuska L. 6

poleca Szanownej P. T. Publiczności swój

wyłączny skład

HERBATY ROSYJSKIEJ.

Kaysew	doskonała, czarna	1/2 kilo	Złr.	1·60
	„ melange	„	„	1·80
Suszong	wyborna	„	„	2·—
	najlepsza	„	„	3·—
Melange	karawanowa	„	„	4·—
Fu-czu Fu	Nr. I.	„	„	3·20
	„ II.	„	„	4·60
	„ III.	„	„	5·—
K. & S. Popow	funt 1 rs. 60 kop			2·40
	„ 2 „ — „			3·—
	„ 3 „ 50 „			3·75
Wysiewki	wyborna	1/2 kilo	Złr.	1·60
	H. prima	„	„	1·80
	non plus ultra	„	„	2·50

Łaskawe zlecenia odwrotną pocztą.

Opakowanie franko, kupcom rabat.

Dra Rosa'ego Balsam życia

jest środkiem domowym łagodnie i skutecznie działającym, od przeszło lat 30 znanym, przywracającym trawienie, apetyt i usuwającym wzdęcie.

Wielka flaszka 1 złr., mała 50 ct., pocztą 20 ct. więcej.

Wszystkie części opakowania zaopatrzone prawnie deponowaną marką ochronną, uwidocznioną obok.

Poleca się również:

„Praską Uniwersalną Maść Domową".

Takowa okazała się po wielu doświadczeniach jako skuteczny środek przy czyszczeniu, gojeniu bolących miejsc i działa przytem uśmierzająco i rozwalniająco.

W dozach po 35 i 25 ct., pocztą 6 ct. więcej.

Wszystkie części opakowania zaopatrzone prawnie deponowaną marką ochronną, uwidocznioną obok.

Skład główny:

B. FRAGNER, PRAG

Nr. 203-204, Kleinseile, apt. pod czarnym orłem.

Przesyłka pocztowa codziennie.

Z drukarni Związkowej w Krakowie, pod zarządem A. Szyjewskiego. Redaktor odpowiedzialny i Wydawca: Józef Tarczeński.